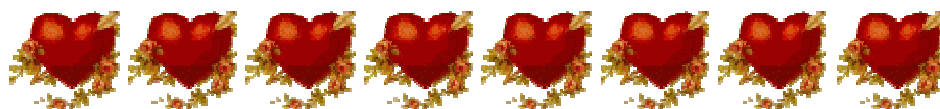




*Stephanie Howard*

---



*Pod osłoną dżungli*

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kate westchnęła ciężko, jadąc w taksówce, i otarła chusteczką zroszone potem brwi. Tutaj, w Manili, upał był jeszcze gorszy niż w Hongkongu - tam przynajmniej wszystkie taksówki były klimatyzowane. W tym samochodzie czuła się jak w piecu, a kiedy otworzyła okno, podmuch gorącego, parnego powietrza omal jej nie udusił. Lepiej oddychać jak najwolniej, zdecydowała, pospiesznie zakręcając szybę.

- To tutaj, *miss!* Dojechaliśmy! - krzyknął przez ramię taksówkarz, hamując gwałtownie i wzniecając tuman kurzu przed jadącym z tyłu bajecznie kolorowym mikrobusem, który udało mu się wyprzedzić zaledwie chwilę wcześniej. - Ogólnoświatowa Agencja Ramos! - oświadczył z satysfakcją, wskazując palcem pretensjonalny szyld na zniszczonej fasadzie budynku.

Kate odetchnęła z ulgą. A więc Agencja Ramos, choć jej siedziba prezentowała się niezbyt okazale, naprawdę istniała. Wyjeżdżając z Hongkongu, z nagryzmołonym na małej kartce nazwiskiem i adresem w Manili, miała pełną świadomość, że jej trud może okazać się daremny. Informacja, jaką zdobyła od człowieka przypadkowo poznanego w barze, nie była przecież najbardziej wiarygodnym z tropów.

Ale firma niejakiego Ramosa naprawdę istniała - i teraz jej następnym zadaniem było dowiedzieć się, czy istnieje także, żyjące poza nurtem cywilizacji, plemię Cabayanów. Nadzieja, że tak jest,

przywiodła ją na Filipiny. A odpowiedź kryła się za tymi odrapanymi, wypalonymi przez słońce murami.

- Proszę. - Wręczyła taksówkarzowi pieniądze, zastanawiając się, czy doliczyła odpowiedni napiwek.

- Agencja Ramos, czwarte piętro - powiedział wyraźnie zadowolony i z szerokim szczerbatym uśmiechem odwrócił się przez ramię, żeby otworzyć jej drzwi. - Życzę miłego dnia, *miss!*

- Dziękuję - mruknęła. I udanego, dopowiedziała sobie w myśli, wysiadłszy z taksówki. Tak wiele zależało od pomyślności tej wyprawy. Jej przyszłość i, co ważniejsze, przyszłość jej brata. To ze względu na Liama zdecydowała się tu przyjechać.

Stała przez chwilę, rozglądając się dookoła. To była jej pierwsza podróż na Filipiny i wciąż czuła się trochę nieswojo. Wszystko wydawało się tutaj tak zupełnie inne niż w krajach, które udało jej się dotąd zwiedzić. Egzotyka, chaos, orientalny koloryt i nastrój, ale z odrobiną powierzchownego amerykańskiego blichtru. Owo „Życzę miłego dnia!” w ustach szczerbatego taksówkarza, który znał prawdopodobnie nie więcej niż dziesięć angielskich słów, doskonale oddawało klimat tego miejsca.

Przeczesała palcami Złotorude włosy i wygładziła spódnicę. Przeczucie jej mówiło, że miała przed sobą szansę nie tylko na błyskotliwy sukces w karierze dziennikarskiej, ale też na największą przygodę swojego życia i... być może - na rozwiązanie wszystkich dręczących ją problemów.

Ruszyła przed siebie pewnym krokiem - szczupła, energiczna postać w brzoskwińowym kostiumie, z uniesioną wysoko głową i śmiałym błyskiem w szmaragdowych oczach.

Czwarte piętro, powiedział jej taksówkarz, a lista lokatorów, którą znalazła w holu, potwierdzała tę informację. Dobra nasza, pomyślała, wchodząc do starej trzeszczącej windy. I nagle poczuła, że wracają jej siły. W klimatyzowanym budynku było cudownie chłodno.

Widok zadziwiająco okazałego biura na czwartym piętrze jeszcze bardziej podniósł Kate na duchu. Zza biurka recepcyjnego uśmiechnęła się do niej zjawiskowo piękna Filipinka.

- Dzień dobry. W czym mogę pani pomóc?

- Nazywam się Kate O'Shaughnessy, jestem reporterką londyńskiego magazynu „Deadline”. Niestety nie jestem umówiona - przyleciałam do Manili dziś rano i nie udało mi się ustalić numeru państwa telefonu - ale zależy mi na spotkaniu z panem Ramosem, jeśli to możliwe. Chciałabym z nim porozmawiać o wyprawie do osady Cabayanów.

- Pan Ramos ma w tej chwili spotkanie. - Dziewczyna uśmiechnęła się przepaszająco, a potem spojrzała dyskretnie na gabinet szefa. - Ale jeśli zechce pani poczekać... - wskazała dłonią skórzaną kanapę - ...pomówię z nim, gdy tylko będzie wolny.

- Bardzo pani dziękuję.

Kate była pod wrażeniem. Firma wyglądała na sprawnie działającą. A ona na to właśnie liczyła. Sprężystym krokiem ruszyła w stronę kanapy, ale w połowie drogi stanęła jak wryta.

Drzwi gabinetu Ramosa otworzyły się z hukiem i jak burza wypadł z nich niezwykle przystojny mężczyzna o czarnych włosach. Z miną furiata ruszył prosto do wyjścia i omal nie zderzył się z Kate.

- Z drogi! - warknął, zatrzymawszy się przed nią gwałtownie.

Jego oczy płonęły gniewem, a twarz, nawet bez tego wyrazu wściekłości, przyprawiłaby o zimny dreszcz każdego śmiertelnika. Bo była to twarz zdradzająca ogromną siłę - z wydatnymi kośćmi policzkowymi, prostym nosem, mocno zarysowaną szczęką i szerokimi, wyrazistymi ustami, jakby stworzonymi do skrajnych porywów namiętności. Twarz dzika, a jednocześnie szlachetna; twarz człowieka, którego nikt rozsądny nie odważyłby się drażnić.

Oniemiała, zbita z tropu jak chyba nigdy w życiu, Kate usłyszała nagle głos drugiego mężczyzny. Nawet nie zauważyła, gdy wybiegł z gabinetu za rozwścieczonym brunetem, który gotów był ją stratoować.

- Nie strasz mnie, Esquerez! - krzyknął piskliwym, mało przekonującym tonem. - Nie pozwolę, żebyś się tu beczelnie panoszył - ani tu, ani u Cabayanów! Albo przestaniesz wtykać nos w interesy mojej firmy, albo gorzko tego pożałujesz! Obiecuję!

Czyżby się przesłyszała? Czy Ramos naprawdę nazwał tego człowieka „Esquerez”?

Brunet odwrócił się na pięcie i znieruchomiał w pozie tygrysa szykującego się do skoku na upatrzoną ofiarę.

- Próbujesz mi grozić? - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Nie radzę! Powinieneś wiedzieć, że bardzo tego nie lubię.

Czy to mógł być ten sam Esquerez - właściciel firmy, która tak im dopiekle w Hongkongu? Kimkolwiek był, sprawiał wrażenie bezlitosnego tyra, pomyślała z nutą sympatii dla Ramosa. Przynajmniej pod względem fizycznym drobny Filipińczyk był jego przeciwieństwem. Niższy o dwie głowy, wyglądał przy ogromnym, muskularnym Esquerezie jak pekińczyk obszczekujący byka. A jednak z godną podziwu odwagą nie dawał za wygraną.

- Wynoś się stąd, Esquerez! Raz na zawsze! - rozkazał swoim nerwowym, piskliwym dyszkantem. - I trzymaj się z daleka od moich interesów!

A więc nie przesłyszała się! Mężczyzna nazywał się Esquerez. I na pewno był właśnie tym Esquerezem, sądząc po scenie, która rozegrała się na jej oczach. Kate poczuła jeszcze większą sympatię dla Ramosa.

- Bez obawy, właśnie wychodzę - syknął brunet. - Ale nie licz na to, że dam ci spokój. Nie odczepię się od twoich interesów, masz na to moje słowo!

Odwrócił się gwałtownie i znowu niewiele brakowało, a staranowałby Kate. Zmarszczył czoło i patrzył na nią przez chwilę diabolicznym, świdrującym wzrokiem.

- Powiedziałem chyba, żeby zeszła mi pani z drogi? Czy świadomie próbuje pani wyprowadzić mnie z równowagi?

- Wyprowadzić pana z równowagi? Jakżebym śmiała! Chciałam jednak zauważyć, że to pan wszedł mi w drogę! - Z niewypowiedzianą

przyjemnością patrzyła, jak ze zdumienia unosi czarne brwi. Wyraźnie spodziewał się potulniejszej reakcji.

Nie zdziwiłaby się wcale, gdyby odepchnął ją na bok. Człowiek o takich manierach mógł być do tego zdolny! Ale on opuścił bezwładnie ręce, uśmiechnął się krzywo i w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Widzę, *señorita*, że jest pani w nastroju do dłuższej rozmowy...

- Pałącym, przenikliwym wzrokiem przebiegł po jej twarzy, chłonąc każdy szczegół. A potem znowu sposepniał. - W przeciwieństwie do mnie, niestety... Byłbym więc zobowiązany, gdyby zeszła mi pani z drogi.

- Dlaczego miałabym to zrobić? Powiedziałam już, że to pan wszedł mi w drogę!

Czuła, że może przeszarżować. Ale Kate zawsze była uparta jak osioł i sprowokowana do pojedynku, nie miała zwyczaju ustępować. Nie drgnęła nawet, kiedy Esquerez warknął ostrzegawczo:

- Jeżeli nie ruszy się pani z własnej woli, przekonam panią inaczej.

Dopiero kiedy zrobił krok w jej stronę, zrozumiała, jakim szaleństwem było go drażnić. Chciała uskoczyć na bok, ale on chwycił ją za ramiona, nim zdążyła się poruszyć. A potem schylił głowę i przywarł gorącymi wargami do jej ust.

Przerażona, w kompletnym szoku, Kate skamieniała na moment - to była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała! - i nagle ogarnęło ją coś zupełnie innego niż przerażenie. Fala błędnego ciepła rozeszła się

po jej ciele. Nie wiedziała, czy sama rozchyliła wargi, ale kiedy poczuła między nimi jego język, przeszył ją dreszcz.

Sekundę później zdrowy rozsądek przyszedł jej na pomoc. Do licha! Straciła chyba rozum! Jak mogła pozwolić obcemu mężczyźnie całować się w ten sposób!

Wpadła w furję. Odepchnęła go z całej siły i spojrzała w jego czarne jak węgle, rozbawione oczy.

- Czy teraz przepuści mnie pani, *señorita*? Czy mam się uciec do bardziej drastycznych środków perswazji.

Wolała nie sprawdzać, co miał na myśli.

- Bezczelny dzikus! - wrzasnęła, czując jednak, że ta obelga co najwyżej go rozbawiła. - Jak pan śmie...! Najwyższy czas, żeby ktoś pana nauczył dobrych manier!

- Na przykład kto? Ma pani siebie na myśli? - zapytał z wyzywającym uśmiechem. - Naprawdę mogłaby mnie pani czegoś nauczyć? Niestety, słodka *señorita*, dzisiaj jestem bardzo zajęty, będziemy więc musieli odłożyć tę lekcję na inną okazję. Żegnam panią.

- Zaśmiał się, a potem rzuciwszy Ramosowi ostatnie mordercze spojrzenie, odwrócił się i ruszył szybkim krokiem do windy.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi - ku wyraźnej uldze pozostałej trójki - Ramos przywołał na twarz służbowy uśmiech i zaprosił Kate do swojego gabinetu.

- Jest pani bystrą młodą damą - powiedział, gdy wyjaśniła do końca cel swojej wizyty. - Na razie tylko garstka ludzi wie o istnieniu



plemienia Cabayanów. I ma pani absolutną rację. Nasza firma od początku zaangażowana jest w ekspedycję naukową, która dokonała tego odkrycia. Sponsorujemy ją. W zasadzie zajmujemy się przede wszystkim handlem zagranicznym - dodał z dumą - ale lubimy wspierać pożyteczne przedsięwzięcia.

Serce załomotało jej z podniecenia. A więc historia, którą opowiedział jej w barze w Hongkongu pewien angielski inżynier, nie była, czego tak bardzo się obawiała, wytworem jego fantazji. Temat na artykuł jej życia, spełnienie jej modlitw, wybawienie z kłopotów - wszystko to czekało na nią właśnie tutaj, na Filipinach!

Ale wybuch radości był równie gwałtowny, jak krótkotrwały. Ramos zasepił się i pokręcił głową.

- Niestety, muszę panią rozczarować. W tej chwili pani podróż do wioski Cabayanów nie wchodzi w grę.

- Ale dlaczego? - spytała z przerażeniem w oczach.

- Nie zamierza pan chyba trzymać tego odkrycia w tajemnicy?

- Nie, oczywiście, że nie. Świat ma prawo dowiedzieć się o wszystkim... choć muszę przyznać, że chcieliśmy jeszcze przez jakiś czas uniknąć rozgłosu - przynajmniej dopóki się lepiej nie zorganizujemy. Cabayanowie żyją daleko stąd, w prymitywnych warunkach, i niełatwo do nich dotrzeć - tłumaczył jej jak dziecku.

- Wykluczone, żeby ktoś taki jak pani podróżował samotnie przez dżunglę.

- Nie mógłby pan wynająć dla mnie jakiegoś przewodnika?

- Niestety, wszyscy są na razie zajęci. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że jesteśmy nie przygotowani. Najlepsze, co mogę doradzić, to żeby spotkała się pani z profesorem Flynnem - jak pani wiadomo, to on jest szefem wyprawy - za jakieś dwa tygodnie, po jego powrocie do Manili. Możliwe, że wtedy, jeśli nadal będzie pani skłonna wybrać się w tę podróż, będziemy mieli kilku wolnych przewodników.

Dwa pełne tygodnie? Nie mogła czekać tak długo! Jakiś inny dziennikarz mógł wpaść na ten sam trop i ubiec ją! Zaraz, zaraz... Szukając gorączkowo jakiegoś rozwiązania, przypomniała sobie, że Ramos wspomniał coś o Cabayanach podczas kłótni z Esquerezem.

„Nie pozwolę, żebyś się tu beczelnie panoszył - ani tu, ani u Cabayanów!“. Tak dokładnie powiedział.

- Czy ten człowiek, Esquerez, jest w jakiś sposób zaangażowany w projekt pańskiej firmy dotyczący Cabayanów? - spytała ostrożnie, kiedy Ramos wstał, żeby odprowadzić ją do drzwi. - Podejrzewam, że to ten Esquerez... - dodała z naiwnym uśmiechem - od Inwestycji Budowlanych Esquereza.

- Ten sam - przyznał Ramos i nagle jego twarz wykrzywił ponury grymas. - Chce zarzucić swoje sieci na Cabayanów, ale po moim trupie... Jemu chodzi tylko o wyzyskiwanie tych ludzi - chce używać ich jako taniej siły roboczej i planuje odebrać im ziemię. Esquerez, daję pani na to moje słowo, jest chciwym i podłym człowiekiem.

Słyszała to już wcześniej. Ale na razie moralna ocena działalności Esquereza nie była tym, co ją najbardziej zajmowało.

- Zdaje się, że siedziba jego firmy znajduje się na północy, w Baguio - rzuciła jakby od niechcienia, kiedy zatrzymali się przed progiem gabinetu. - Czy on ma jakieś biuro w Manili?

- Bardzo małe. Kiedy jest w stolicy, kieruje swoimi interesami z hotelu „Manila”. Ma tam wynajęty na stałe apartament. Oczywiście najbardziej luksusowy - powiedział z drwiącym uśmiechem i wyciągnął do niej rękę na pożegnanie. - Do zobaczenia, panno O'Shaughnessy. Żałuję, że nie mogłem pani pomóc.

Ale gdy zamknęły się za nią drzwi, Kate uśmiechnęła się i lekkim krokiem ruszyła do windy. Ramos, nieświadomie, bardzo jej pomógł. Dzięki niemu miała plan, który mógł ją uratować!

Punktualnie o wpół do ósmej Kate weszła do najelegantszego w mieście hotelu „Manila”. Wyglądała zupełnie inaczej niż po południu - sfatygowane podczas męczącej podróży sportowe ubranie zmieniła na białą letnią sukienkę, z koszulowym kołnierzem i skórzanym paskiem podkreślającym jej szczupłą talię.

Szybkim, pewnym krokiem przemierzyła ogromny hol i z błyskiem determinacji w zielonych oczach podeszła do recepcji.

- Jestem gościem pana Esquereza, ale wyleciał mi niestety z pamięci numer jego apartamentu. - Kiedy młody mężczyzna udzielił jej najważniejszej informacji, szepnęła kokieteryjnie: - Proszę, niech pan nie dzwoni na górę, chciałabym mu sprawić niespodziankę.

Recepcjonista uśmiechnął się i zerknął szybko na klucze.

- Powinien być u siebie. Proszę wjechać windą na trzecie piętro.

A więc wybrała doskonałą porę! Nie zdążył jeszcze wyjść. Na trzecim piętrze panowała ta wytworna, idealna cisza, na jaką można liczyć tylko w najlepszych hotelach. Kierując się strzałkami, Kate szła długim korytarzem, czując, że serce bije jej coraz szybciej.

Zdawała sobie sprawę, że to spotkanie może okazać się trudne - sama widziała, że Esquerez jest gwałtownym człowiekiem - ale skoro mogło przynieść rozwiązanie jej problemów, gotowa była zmierzyć się z samym diabłem!

Kiedy zatrzymała się w końcu przed właściwymi drzwiami, wzięła głęboki oddech, wyprostowała ramiona i odrzuciła do tyłu włosy. Potem głośno zapukała, dwa razy.

Długa cisza. Czyżby jednak wyszedł? Może zapomniał zostawić klucz w recepcji? Marszcząc czoło, podniosła znowu rękę, ale w tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i jej oczom ukazał się widok, na który cofnęła się spłoszona.

Esquerez, bez wątplenia, ale w stanie nieodpowiednim do przyjmowania gości!

Nie miał na sobie niczego poza skąpym niebieskim ręcznikiem, owiniętym niedbale wokół bioder - i, dziwne, ale teraz, w tej swojej okazałej półnagości, wydawał się jeszcze wyższy i potężniejszy.

A niech to... Musiała wyciągnąć go spod prysznicą. Krople wody skapywały z błyszczących czarnych włosów na ramiona i śniady tors. Kate, zbита z tropu, przezornie utkwiała wzrok w jego twarzy.

- To pani! - warknął zirytowany, odgarniając z czoła mokre włosy. - Czego pani chce?

- Przyszłam się z panem spotkać - odpowiedziała hardo, z zagadkowym uśmiechem.

- Ach tak...? - Pochylił lekko głowę, jakby nie dowierzając własnym uszom. - Wie pani przynajmniej, kim jestem? - zapytał dumnie.

Zmarszczyła brwi, nie bardzo rozumiejąc, ale on nawet nie czekał na jej odpowiedź i sam się przedstawił, tym samym wielkopańskim tonem.

- Jestem Vittorio Felipe Salvador de Esquerez i nie mam w zwyczaju, *señorita*, zabawiać nieproszonych młodych kobiet w swoim pokoju!

Co za bezczelna arogancja! Kate spojrzała mu prosto w oczy. Musiał opacznie zrozumieć jej uśmiech.

- A ja jestem Katharine Brigid Mhaire O'Shaughnessy! I nie mam w zwyczaju pukać do drzwi nieznajomych mężczyzn. Przyszłam tu w ważnej sprawie, a nie z powodu, o jakim pan myśli.

- Ach tak... - westchnął z drwiącym błyskiem w oczach, wyraźnie rozbawiony. - Próbuje mnie pani przekonać, że nie przyszła po to, by kontynuować nasze wcześniejsze spotkanie... od punktu, w którym je przerwaliśmy? Powinna była pani do mnie zadzwonić, *señorita*. Moglibyśmy ustalić wygodniejszy termin.

Wiedziała, że rozmyślnie ją drażni. A jednocześnie czuła, że to nie są tylko puste słowa - dlatego patrzyła na niego dalej

wyzywającym, niemal szyderczym wzrokiem. I nie drgnęła jej nawet powieka.

- Niestety, *señor* de Esquerez, jest pan w błędzie. Celem mojej wizyty nie jest kontynuowanie czegoś tak nieprzyjemnego i tak niestosownego. - Na samą myśl o tym przeszły ją ciarki po plecach. - Przyszłam tu, żeby omówić z panem pewien interes. Przepraszam, jeśli trafiłam na nieodpowiedni moment.

Vittorio Felipe Salvador de Esquerez oparł się doskonałym, opalonym ciałem o framugę drzwi.

- Interes, czy ja się nie przesłyszałem? Jakiego to rodzaju interes moglibyśmy mieć - ja i pani?

- Właśnie o tym chciałam porozmawiać. Ale korytarz nie jest odpowiednim miejscem na tę rozmowę.

- Więc jakie inne miejsce proponuje pani, panno Katharine Brigid Mhaire O'Shaughnessy?

- Gdyby zechciał się pan ubrać i poświęcić mi pół godziny, moglibyśmy porozmawiać na dole, w kawiarni albo w barze...

- Żałuję, ale gdy tylko się ubiorę, wychodzę na umówioną kolację. - Mimo uprzejmego tonu, wyraz jego twarzy nie zdradzał cienia żalu. - Tak więc nie mamy dzisiaj szansy na rozmowę o interesach, chyba że pani również będzie gościem amerykańskiego ambasadora.

Niech go szlag! Kate sztyletowała go wzrokiem, z trudem utrzymując nerwy na wodzy. Miała ochotę odwrócić się na pięcie i odejść. Ale ten człowiek mógł być jej jedyną szansą.

- A jutro? - zapytała uprzejmie.

- Jutro, niestety, wyjeżdżam z Manili. Pilne interesy wymagają mojej obecności gdzie indziej.

Czy te pilne interesy nie mają przypadkiem coś wspólnego z Cabayanami? Jeśli tak, powinna za wszelką cenę porozmawiać z nim jeszcze dzisiaj.

- Sądzę, że mógłby pan jednak poświęcić mi kilka minut.

Sprawa, o której chciałam porozmawiać, jest bardzo ważna.

- Ważna dla kogo?

- Dla mnie, dla moich pracodawców i zapewniam, że również pan może odnieść z tego jakąś korzyść.

- Doprawdy? - Wolno omiótł ją wzrokiem, od twarzy po obcasy sandałów, sprawiając, że poczuła się, jakby to ona, a nie on, stała półnaga w hotelowym korytarzu. - Umieram z ciekawości. Co też taka dziewczyna jak pani może mieć mi do zaoferowania poza tym, co wydaje się oczywiste, rzecz jasna?

Wahała się przez moment, nie znajdując na to pytanie żadnej odpowiedzi, gdy nagle Esquerez wycofał się do pokoju i powiedział zniecierpliwionym głosem:

- Może pani wejść i wyłożyć zwięźle swoją sprawę, gdy będę się ubierał. To moja ostateczna propozycja.

Przyjęła jego zaproszenie bez entuzjazmu. O nie, dziękuję, miała na końcu języka, zreflektowała się jednak, postanowiwszy jeszcze raz wypróbować siłę swojej perswazji.

- Czy naprawdę nie mógłby pan poświęcić mi dziesięciu minut na dole?

- Powiedziałem, *señorita*, że to moja ostateczna decyzja... - Ku jej przerażeniu, drzwi zaczęły się zamykać.

- Nie, proszę poczekać! - krzyknęła, robiąc krok do przodu. Musiała dostać się do wioski Cabayanów. Od tego reportażu zależała jej przyszłość i przyszłość Liama.

A jednak... Im dłużej patrzyła na tego człowieka, tym bardziej się wahała. Było w nim coś takiego, co wprawiało ją w głęboki niepokój, choć nie do końca to rozumiała.

- A więc? - Czekał, trzymając półotwarte drzwi. - Liczę do trzech i koniec rozmowy. - *Uno... Dos...*

Drzwi były już tylko lekko uchylone.

- *Tre...*

Nie zdołał wypowiedzieć do końca decydującego *tres*. Z determinacją wojownika ruszającego do ataku - z zaciśniętymi pięściami, uniesionym podbródkiem i z błagalną modlitwą w sercu - Kate weszła za nim do pokoju.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Usłyszawszy za sobą złowieszcze kliknięcie drzwi, Kate odwróciła się twarzą do Esquereza.

- Proszę łaskawie pamiętać, że jestem pana gościem - powiedziała, patrząc mu hardo w oczy. - Zaprosił mnie pan, więc chciałabym być potraktowana z należyтым szacunkiem i uprzejmością.

- A więc znowu próbuje mnie pani uczyć manier? - Ironiczny uśmiech przebiegł po jego ustach. - Proszę się uspokoić, Katharine Brigid Mhaire O'Shaughnessy, pochodzę ze starej i szacownej rodziny i naprawdę nie potrzebuję od pani lekcji dobrego wychowania.

Rzeczywiście, z tego, co słyszała, Esquerez pochodził z jednego ze znakomitych arystokratycznych rodów hiszpańskich, które przez trzysta lat, aż do końca dziewiętnastego wieku, rządziły Filipinami. Tylko że dla Kate nie miało to większego znaczenia. Cóż z tego, myślała, że w jego żyłach płynie błękitna krew, skoro zachowuje się jak prostak!

- Coś podobnego! - roześmiała się drwiąco. - W czasie naszego pierwszego spotkania nie odniosłam wrażenia, że ogłada towarzyska jest pana drugą naturą.

- Każdemu chyba może się zdarzyć małe uchybienie - zwłaszcza wobec tak nieodpartej prowokacji? - Bezwstydnym, szelmowskim uśmiechem rozpromienił mu twarz.

- Jeśli chce pani, żebym zachowywał się nienagannie, *señorita*, proszę mnie więcej nie prowokować.

Czy to miała być pogrożka? Kate nie znosiła pogrozek. Spojrzała na niego zuchwałym wzrokiem.

- Tam, skąd pochodzę, dżentelmeni zawsze mają nienaganne maniery. Nie pozwalają sobie na uchybienia z powodu jakichkolwiek prowokacji.

- Tutaj panują inne reguły. I należy ich przestrzegać - albo liczyć się z konsekwencjami.

Pojęła aluzję do tamtego nieszczęsnego pocałunku i zawrzała ze złości.

- Postaram się o tym pamiętać - wycedziła z pogardą w głosie. - I na pewno nie sprawi mi to trudności, bo konsekwencje były bardzo nieprzyjemne.

- Naprawdę? A dla mnie wręcz przeciwnie... Upajał się każdą chwilą tej słownej potyczki, tymczasem Kate czuła się coraz bardziej nieswojo.

- Nie przyszedłam tutaj, żeby wdawać się w puste pogawędki. Mam ważną sprawę, którą chciałabym z panem omówić...

- Puste pogawędki bywają bardzo odkrywczyste. Szkoda. Właśnie zacząłem panią poznawać.

- Nie sędzę. - Powstrzymała się, żeby nie odburknąć, że jeśli o nią chodzi, nie ma najmniejszej ochoty go poznawać. W końcu to ona przyszła prosić go o przysługę i na razie nie miała innego wyjścia, niż trzymać nerwy na wodzy. - Byłabym niezmiernie wdzięczna -

powiedziała łagodniejszym tonem - gdybyśmy mogli przejść do rzeczy.

- Zgoda. - Odwrócił się na pięcie i ruszył do sypialni. - Bardzo proszę! Dlaczego pani stoi?

- Wolałabym tu zostać...

- Jak sobie pani życzy. - Zatrzymał się w progu i rzucił jej rozbawione spojrzenie. - Zastanawiam się tylko, jakim cudem uda nam się porozmawiać, jeśli ja będę w jednym pokoju, a pani w drugim.

Ona też się zastanawiała i nic mądrego nie przychodziło jej do głowy.

- Przecież musi się pan ubrać - mruknęła niepewnie.

- O co chodzi, Katharine Brigid Mhaire O'Shaughnessy? - Przyglądał jej się spod przymrużonych powiek. - Nigdy dotąd nie widziała pani nagiego mężczyzny?

Może widziała, a może nie, ale to nie jego zakichany interes!

- Przyszłam tu porozmawiać, a nie oglądać męski striptiz.

- Bez obawy, *señorita*. - Uśmiechnął się kpiąco. - Mam mnóstwo wad, ale daję pani słowo, że ekshibicjonizm do nich nie należy. Ubiorę się w łazience. Tymczasem może pani spokojnie wejść i rozgościć się. Zajmie mi to kilka minut, a potem przejdziemy do rzeczy. - Proszę - zaprosił ją uprzejmym gestem - niech pani gdzieś usiądzie. Naprawdę nie grozi pani z mojej strony żadnego rodzaju molestowanie.

Kiedy zniknął w łazience i zamknął za sobą drzwi, Kate usiadła na pierwszym z brzegu krześle i, ni stąd, ni zowąd, zaczęła się zastanawiać, jakie wrażenie zrobiłby Vittorio de Esquerez na Liamie.

Myśl o młodszym bracie ścisnęła wzruszeniem jej serce. Bo Liam, na którego mądrych i bystrych spostrzeżeniach zawsze mogła polegać, był kimś więcej niż nieomylnym znawcą ludzkich charakterów. Był dla niej najważniejszą, najukochańszą osobą na świecie. I, oczywiście, dla niego zdecydowała się tu przyjść.

Kochany Liam. Zasepiła się i potrzęsnęła głową. Gdyby poniosła klęskę, gdyby nie zdołała dotrzeć do Cabayanów i była zmuszona wrócić do Anglii bez reportażu z Filipin, jej kariera zawodowa, a przez to cała przyszłość Liama stanęłaby pod znakiem zapytania.

Z zamyślenia wyrwało ją skrzypnięcie drzwi łazienki. Esquerez wszedł energicznym krokiem do pokoju i zatrzymał się na moment, mierząc ją przenikliwym wzrokiem.

- A więc słucham. Proszę mi łaskawie wyjaśnić powód swojej wizyty.

Był tylko w ciemnych spodniach, z nie zapiętym paskiem z krokodylej skóry. Kate spojrzała mu w oczy, znów zadając sobie pytanie, co by powiedział o nim Liam. Pewnie uznałby go za aroganckiego typu, z tych, co to zawsze dostają wszystko, czego zechcą. I przypomniałby jej, że tacy ludzie niechętnie wyświadczają bezinteresowne przysługi.

Chytry uśmiech przemknął przez jej usta. A więc dobrze... Zamiast prosić go o przysługę, musi z nim negocjować.

- Przybyłam na Filipiny w pewnej szczególnej misji... To sprawa, z którą, jak sądzę, jest pan związany interesami, i w której, mam nadzieję, moglibyśmy podjąć współpracę.

Esquerez podszedł do ogromnej szafy, zdjął z wieszaka białą koszulę i włożył ją wprawnym ruchem, odwrócony plecami do Kate.

- Nim zaczniemy rozmawiać o współpracy, *señorita*, może zechciałaby mnie pani oświecić, na czym konkretnie polega owa misja.

- Dotyczy odkrytego niedawno plemienia Cabayanów.

- Plemienia Cabayanów? - powtórzył, odwróciwszy się do niej gwałtownie.

- Tak. Słyszał pan o nich, prawda? I rozumiem, że pan również jest tym odkryciem bardzo zainteresowany.

Wyjął z szuflady parę czarnych jedwabnych skarpetek i usiadł na brzegu łóżka, żeby je włożyć.

- Tak - potwierdził ostrożnie. - Rzeczywiście, interesuje mnie to odkrycie. Zdobyła pani tę informację od Ramosa?

- Nie, znacznie wcześniej... W każdym razie nie rozmawialiśmy o pana interesach, jeśli o to pan pyta.

- Co za ulga - odparł sarkastycznie. Wstał i podszedł do lustra, zapinając po drodze guziki koszuli. - Ta kanalia nic nie wie o moich interesach, dlatego nie może o nich z nikim rozmawiać.

Włożył w spodnie koszulę i zapiął pasek, potem niecierpliwym gestem wysunął szufladę komody i wyjął z niej czarną muszkę.

- A więc na czym polega pani misja i czego miałyby dotyczyć nasza współpraca?

Kiedy, cedząc każde słowo, wypowiadał gniewnie swoje pytanie, Kate czuła, jak rośnie w niej wrogość do tego człowieka. To przecież jego wszechpotężna firma, a przynajmniej jej filia w Hongkongu, celowo uniemożliwiła jej wykonanie ostatniego zlecenia dla „Deadline”.

Przybyła tam z nadzieją, że napisze wielki reportaż, od którego zależało utrzymanie jej pozycji dziennikarskiej. Skończyło się na krótkim, mało istotnym materiale - a wszystko dlatego, że firma, która była jednym z głównych bohaterów jej historii, Inwestycje Budowlane Esquereza, odmówiła jej wywiadu. Bez podania konkretnej przyczyny. „Nie rozmawiamy z prasą”, powiedzieli.

Na wspomnienie tamtego incydentu ogarnęła ją lekka panika. Jeżeli firma z założenia nie utrzymywała kontaktów z dziennikarzami, miała raczej niewielką szansę na zdobycie przychylności jej szefa. Ale gotowa była zrobić wszystko, żeby nie stracić tej szansy.

- *Señor* de Esquerez - zaczęła z wahaniem. - Może powinnam zacząć od opowiedzenia panu czegoś o sobie. Jestem...

Ale zanim słowo „dziennikarka” przeszło jej przez gardło, Esquerez przerwał jej brutalnie.

- Jest pani związana z firmą Ramosa, i to mi w zupełności wystarczy.

- Myli się pan. Nie jestem w żaden sposób związana z firmą Ramosa.

- To co pani robiła w jego biurze?

- Liczyłam na jego pomoc, ale on nie jest w stanie mi jej udzielić. Dlatego przyszedłam do pana... - Zorientowała się, że to zabrzmiało jak prośba o przysługę i, zła na siebie, natychmiast się poprawiła. - Chciałam przedstawić panu pewną propozycję.

- To już słyszałem. - Uśmiechnął się cierpko. - Ale niby dlaczego, *señorita*, miałbym być zainteresowany propozycją, którą odrzucił Ramos?

- On jej nie odrzucił. Po prostu nie jest w stanie współpracować. A to zupełnie co innego.

- Nie jest w stanie współpracować. Subtelna różnica. Tylko że nasz przyjaciel Ramos nie zna się na subtelnościach.

Co najmniej to samo można by powiedzieć o tobie, pomyślała z rosnącą irytacją. Ale kiedy już była gotowa mu to uświadomić, Esquerez znowu zmienił taktykę.

- Zdaje się, że chciała mi pani powiedzieć coś o sobie.

Przepraszam, że tak niegrzecznie przerwałem...

Mimo że wciąż był odwrócony do niej tyłem, Kate widziała w lustrze jego rozbawioną i arogancką minę. Ten człowiek był nieznośny. W jaki sposób mogłaby go przekonać?

- Proszę, niech pani mówi dalej. - Uśmiechnął się zachęcająco. - Zamieniam się w słuch.

- Chciałam wyjaśnić... - Wzięła głęboki oddech, gotowa, mimo wszystko, powiedzieć mu prawdę. - Chciałam wyjaśnić, że jestem... -

dziennikarką, miała na końcu języka, gdy nie wiadomo skąd przyszło jej do głowy kłamstwo. - Jestem antropologiem.

Przygryzła wargę, nie mogąc uwierzyć, że zdobyła się na coś podobnego. Bliska była nawet tego, by cofnąć kłamstwo, gdy Esquerez odwrócił się i spojrzał na nią z uwagą, po raz pierwszy bez cienia wrogości.

- Antropologiem? - powtórzył z zaciekawieniem. - Dla kogo pani pracuje?

Nie mogła nie skorzystać z tej niespodziewanej szansy. Uniosła śmiało głowę.

- Właściwie wciąż jeszcze studiuję, w Londynie. Zbieram materiały do pracy dyplomowej. Interesują mnie struktury społeczne plemion żyjących w izolacji.

- I stąd pani zainteresowanie plemieniem Cabayanów? Domyślam się, że chce ich pani opisać w swojej pracy?

- Właśnie. - Kiwnęła głową, patrząc z rosnącym podnieceniem, jak zamyślony Esquerez podchodzi do szafy i wyjmuje z niej parę lśniących czarnych pantofli. A więc był zdecydowanie mniej uprzedzony do antropologów niż do dziennikarzy. Jej mimowolne kłamstwo okazało się całkiem inteligentnym posunięciem!

- Bardzo interesujące - powiedział, zawiązawszy sznurowadła - ale co to ma wspólnego ze mną? O jakiej ważnej propozycji pani mówiła?

- Przyjechałam na Filipiny... - zaczęła ostrożnie, czując, że nagle zaschło jej w gardle - ... w nadziei, że pan Ramos pomoże mi



zorganizować wyprawę do osady Cabayanów. Ale on twierdzi, niestety, że nie ma w tej chwili wolnych przewodników.

Spróbowałabym dostać się tam na własną rękę, ale pan Ramos powiedział, że byłoby to bardzo lekkomyślne.

Esquerez zdjął z wieszaka smoking i roześmiał się.

- Chociaż raz w życiu powiedział prawdę. To byłoby więcej niż lekkomyślne. Droga do Cabayanów wiedzie przez dżunglę, jeśli w ogóle można mówić o drodze. W prostej linii to tylko kilkaset kilometrów, a podróż terenowym samochodem może zająć kilka dni. Pani szansę dostania się tam na własną rękę oceniam na jedną dziesiątą promila.

Nie dodał jej otuchy. Kate zacisnęła wargi i patrzyła, jak Esquerez znowu podchodzi do lustra i szybkim ruchem przeczesuje wilgotne jeszcze włosy. Musiała przyznać, że w czarnym smokingu wyglądał olśniewająco.

W niczym nie przypominał teraz wściekłego awanturnika, którego poznała rano w biurze Ramosa. Człowiek, któremu się przyglądała, był wytwornym arystokratą. Dziki szakal przeobraził się w panterę.

Było coś niepokojącego w tej dwoistości jego charakteru. Coś, co sprawiało, że nie potrafiłaby o nim powiedzieć niczego pewnego.

- Nie wolałaby pani poczekać na profesora, swojego kolegę antropologa? Będzie w Manili za kilka tygodni i mógłby panią zabrać, kiedy będzie jechał do swoich Cabayanów.

- Nie mogę czekać tak długo. Mam do załatwienia ważną sprawę w Anglii. Ale... wspomniał pan, że też interesuje się Cabayanami. Czy słusznie się domyślam, że zamierza pan tam pojechać?

- Być może.

- A czy przypadkiem... nie planuje pan wyruszyć już jutro? - przypierała go do muru, niemal pewna, że ma rację.

Esquerez włożył do wewnętrznej kieszeni smokingu portfel z krokodylej skóry i złote pióro Cartiera, a potem spojrzał na nią chłodnym wzrokiem.

- Dlaczego pani pyta?

- Zastanawiałam się, czy... ponieważ nie mam innego sposobu na to, żeby się tam dostać... czy nie mógłby mnie pan zabrać ze sobą.

- Cóż, w takim razie może się już pani przestać zastanawiać. Moja odpowiedź, *señorita*, jest bardzo prosta. Nie, z całą pewnością nie mógłbym.

- Nie oczekuję, rzecz jasna, żeby to była bezinteresowna przysługa...

- Ach tak, oczywiście, zapomniałem - przerwał jej beznamietnym tonem. - Wspomniała pani na początku, że coś z tego będę miał.

Wstąpiła w nią otucha. A więc prawidłowo go oceniła. Gotów był jej pomóc za jakąś słuszną cenę. Ale co znaczy „słuszna cena” dla takiego człowieka? Na chybił trafił wymieniła sumę daleko przekraczającą możliwości jej służbowego budżetu.

- Tyle jestem gotowa zapłacić, jeśli zawiezie mnie pan do wioski Cabayanów.

Przez długą, wlokącą się w nieskończoność chwilę patrzył na nią w milczeniu, przenikliwym, nieodgadnionym wzrokiem. A potem, bez cienia emocji w głosie, powiedział „przykro mi” - i odwrócił się na pięcie.

Kate zerwała się z krzesła. Nie mogła stracić swojej ostatniej szansy! Bez namysłu podwoiła sumę. Trudno, gotowa była sięgnąć do własnej kieszeni, ale musiała napisać ten reportaż, po prostu musiała!

- I co pan na to? - Czekwała, wstrzymując oddech.

- Źle mnie pani oceniła. Nie jestem zainteresowany pani pieniędzmi. Nie zabrałbym pani ze sobą, nawet gdyby zaproponowała mi pani klejnoty Korony Brytyjskiej. Proszę mi wierzyć, panno O'Shaughnessy, że traci pani cenny czas. Radziłbym wrócić do Anglii i znaleźć sobie jakieś inne plemię do swoich badań.

- Ale dlaczego? - spytała zduszonym głosem. - Nawet jeżeli nie jest pan zainteresowany moimi pieniędzmi - przepraszam, jeśli pana uraziłam - dlaczego nie chce się pan zgodzić, żebym z panem pojechała? Obiecuję, że nie będę ciężarem, mogę się nawet do czegoś przydać.

Roześmiał się, drwiącym, pobłażliwym śmiechem i wolno pokręcił głową, jakby miał do czynienia z małym dzieckiem.

- Tak pani sądzi, słodka *señorita*? Otóż tam, gdzie mieszkają Cabayanowie, byłaby pani ogromnym i niebezpiecznym ciężarem!

- A więc jedzie pan do nich! Błagam, *señor* de Esquerez, niech mnie pan ze sobą zabierze!

- Nigdy! - powiedział twardo i spojrział na zegarek. - Straciłem już dość czasu na wysłuchiwanie tych nonsensów. Spóźnię się na spotkanie.

Wypraszał ją, tak po prostu, niwecząc wszystkie jej nadzieje! Ale ona nie mogła się tak po prostu poddać!

- Proszę się jeszcze zastanowić - szepnęła. - Nie musi się pan niczego obawiać. Jestem sprawna i zdrowa, mam dobrą kondycję i potrafię sama o siebie zadbać. Naprawdę nie sprawię panu żadnego kłopotu.

Przechylił na bok głowę i leniwym wzrokiem prześliznął się po jej kobiecych kształtach.

- Podoba mi się to, co widzę - przyznał bez cienia zażenowania.  
- Moje gratulacje, Catharine Brigid Mhaire O'Shaughnessy.

Zlekceważyła drapieżny błysk w jego oczach i próbowała mówić dalej, z rozpaczliwym uporem w głosie, jakby walczyła o własne życie.

- Przecież nie będę dla pana zawadą, przydam się do czegoś, jako sprawna kobieta mogłabym gotować i robić różne rzeczy...

- Ach tak? A jakie inne drobne usługi, poza gotowaniem, mogłaby pani świadczyć swoim sprawnym i ponętym ciałem?

Oblał ją zimny pot. Cofnęła się o krok, ale Esquerez był szybszy. Poczula jego rękę na talii, a kiedy drugą przeciągnął po jej włosach, serce zamarło jej w piersi.

- Słucham, *señorita*. Czekam na odpowiedź. Kompletnie zaskoczona gwałtownością i arogancją tego gestu, Kate - tak jak rano w biurze Ramosa - zamieniła się w słup soli. Patrzyła na niego tępym wzrokiem, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

- No, *señorita*. Niech pani nie będzie taka skromna. Co jeszcze byłaby pani skłonna dla mnie robić, gdybym panią zabrał?

Było jeszcze jedno, mniej wygodne, wytłumaczenie jej reakcji - a raczej braku reakcji. Nie przyznałaby się do tego nawet na torturach, ale bliskość silnego męskiego ciała, jego ciepło i zapach wprawiły ją w stan błogiej przyjemności. Nigdy przedtem nie czuła tak podniecającego mrowienia w palcach, nigdy jej serce nie biło tak szybko.

Gdy przysunął się jeszcze bliżej, pozerając ją wygłodniałym wzrokiem, Kate miała nawet nadzieję, że zechce ją pocałować. Ale on uwolnił ją i cofnął się.

- Przykro mi, *señorita*, ale nie mam teraz czasu na testowanie pani zalet.

Co za bezczelność! Patrzyła na niego z furią w oczach - choć, tak naprawdę, nie była pewna, co wyzwoliło w niej tę nagłą złość. Jego atak na nią czy to, że się z niego wycofał? Oczywiście to pierwsze, zdecydowała stanowczo, i wykrzyknęła z pasją:

- Tyle warte były te dżentelmeńskie zapewnienia, że traktuje pan gości z szacunkiem! To był najbardziej uwłaczający popis złych manier, z jakim spotkałam się w życiu!

- W takim razie miała pani dużo szczęścia, *señorita*. Młoda kobieta pozwalająca sobie na tak rażące prowokacje sama prosi się o kłopoty. Ostrzegałem panią, prawda? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, mówił dalej: - Jeżeli nie będzie pani bardziej ostrożna, pewnego dnia może mieć pani pecha i trafić na kogoś, kto będzie gorzej wychowany i dużo brutalniejszy ode mnie. Wtedy będzie pani zmuszona wywiązać się z oferty.

Kate z przyjemnością wymierzyłaby mu policzek, gdyby nie to, że myśl o dalszym fizycznym kontakcie z tym człowiekiem wydała jej się nagle odpychająca. Jak śmiał insynuować, że go prowokowała? To jemu roilo się coś w głowie!

- Ty...! Ty...! - Wykrzyknęła, nie bardzo nawet wiedząc, co chciała powiedzieć.

Esquerez podszedł do drzwi, otworzył je i oparł wyciągniętą rękę o framugę, tworząc poprzeczkę, pod którą Kate musiała przejść.

- Żegnam, panno O'Shaughnessy. Chciałbym móc powiedzieć, że z przyjemnością panią poznałem, ale moja wrodzona uczciwość nie pozwala mi na takie kłamstwo.

Wrodzona uczciwość! Śmiechu warte!

- Wzajemnie! - Tylko tyle była w stanie powiedzieć, patrząc w jego bezlitośnie drwiące oczy.

- Myślę, że najmądrzej pani zrobi, rezerwując bilet na jutrzejszy samolot do Londynu. - Stał nieruchomo, żywe wcielenie arogancji, z ręką wciąż opartą na framudze, uprzejmym gestem zachęcając Kate do wyjścia.

Oceniła szybkim spojrzeniem, że musiałaby się lekko schylić. Nie, tego już było za wiele! Źle ją ocenił, jeśli sądził, że zgodzi się na to ostatnie upokorzenie.

- Żegnam, *señor* de Esquerez - odpowiedziała beznamiętnym głosem, patrząc wymownie na jego rękę.

Ani drgnął. Miała tego wszystkiego dosyć i nawet zastanawiała się przez sekundę, czy nie ustąpić. Opuść sobie, podpowiadał jej rozum. Schył się, do diabła, zapomnij na chwilę o dumie i nie prowokuj go!

Ale coś silniejszego niż zdrowy rozsądek popychało ją do starcia.

- Za pozwoleniem, *señor* Esquerez... Ja czekam.

- Czeka pani...?

- Tak, czekam, żeby opuścił pan tę rękę i pozwolił mi wyjść.

Dwie pary oczu, szmaragdowych i czarnych, zwarły się ze sobą jak muszle kastanietów. Potem znieruchomiały na moment, mierząc się wzajemnie, z równym uporem i zaciętością.

Zdawało się, że to może trwać w nieskończoność, gdy nagle Esquerez, jakby zmęczony grą, opuścił rękę i teatralnym gestem wskazał jej wyjście.

- Honor dżentelmena zobowiązuje mnie... *señorita, por favor.*

Kate, nie zwlekając ani sekundy, wyszła z dumnie uniesioną głową. Dopięła swego, a teraz chciała jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem jego wzroku.

Nie próbował jej zatrzymać. *Adios, señorita*, usłyszała za plecami, ale nie odwróciła się. Żegnam, powtórzyła, przyspieszając kroku.

I oby nasze drogi nie skrzyżowały się nigdy więcej...

Kate wróciła prosto do hotelu, wzięła prysznic i zamówiła kolację do pokoju. Wielki soczysty stek i karafka wina znakomicie poprawiły jej nastrój, ale zasadniczy problem pozostał nie rozwiązany. Jakim cudem dostanie się do osady Cabayanów?

Spojrzała na zegarek. W Anglii była pora lunchu. Miała szansę złapać Dereka, swojego wydawcę, zanim wyjdzie na jakieś spotkanie.

Chwilę później, po wymianie uprzejmych powitań, z ciężkim sercem opowiedziała mu o spotkaniach z Ramosem i Esquerezem, przyznając, że utknęła w martwym punkcie i nie wie, co robić dalej.

- Wygląda na to, że muszę czekać w Manili na powrót profesora Flynna... - Wstrzymała oddech, widząc niemal, z jaką miną Derek przyjął tę wiadomość.

- Przykro mi, Kate - odezwał się po chwili milczenia - ale nie możemy sobie pozwolić, żebyś siedziała tam z założonymi rękami przez dwa tygodnie. Albo znajdziesz jakiś inny sposób, żeby zrobić ten reportaż, albo wracasz pierwszym samolotem do Londynu.

Mniej więcej takiej reakcji się spodziewała, ale w głębi duszy liczyła, że zdoła go przekonać.

- Ale, Derek, posłuchaj, to fantastyczna historia! Kiedy wróci Flynn, na pewno uda mi się coś załatwić.



- Nie ma mowy. Jest mnóstwo innych historii, o których trzeba napisać. Jesteś nam tutaj potrzebna. - Słyszając jej rozpaczliwy jęk, dodał zachęcająco: - Coś mi się zdaje, że ten Esquerez to twoja największa szansa. Może spróbujesz go jeszcze przydusić?

Zatrzęsła się na samą myśl o tym wstrętnym typie. Nigdy! Ale Derek nie dał jej czasu na odpowiedź.

- Zadzwoń jutro. Jeśli się nie odezwiesz, zakładam, że udało ci się coś załatwić. Skontaktuję się z jednym z naszych fotografów, którzy pracują w Azji. Będziesz go mogła ściągnąć na zdjęcia, jak tylko wrócisz do Manili. - Przerwał raptownie. - Muszę w tej chwili wyjść. Wymyśl coś, Kate. I bądź ze mną w kontakcie.

Odłożyła słuchawkę i miała ochotę zawyć. Ostatnia nadzieja prysła. Nie napisze reportażu, od którego zależała jej dalsza kariera dziennikarska i przyszłość jej brata.

Przeklęty Esquerez! To wszystko przez niego! Nie pozostawało jej nic innego, niż wracać do Anglii z podwiniętym ogonem. Następnego dnia rano, jedząc bez apetytu śniadanie, sprawdziła godziny odlotów i z bólem serca podniosła słuchawkę, żeby zarezerwować bilet.

W ostatniej sekundzie, kiedy recepcjonistka odebrała telefon, coś zaświtało jej w głowie.

- Proszę połączyć mnie z hotelem „Manila”. - Ręka jej drżała z emocji, ale kiedy odezwała się recepcjonistka z „Manili”, powiedziała wyraźnym, opanowanym głosem: - Chciałabym rozmawiać z panem Esquerezem.

Serce podeszło jej do gardła. To było czyste szaleństwo.

- Przykro mi, ale pan Esquerez wyszedł. Chwileczkę... zostawił informację, że wybiera się na lunch do Yacht Clubu, w razie gdyby były jakieś ważne wiadomości.

- Dziękuję. - Kate odetchnęła.

Wiedziała już, co zrobić.

Tuż przed pierwszą pojechała taksówką do Yacht Clubu i z miną stałego bywalca przekroczyła bramę, nie wzbudzając podejrzeń ochroniarzy. Zdecydowała, że musi podejść Esquereza z zaskoczenia i jeszcze raz spróbować go przekonać. Tak, jak poradził jej Derek.

Nie oceniała swojej szansy zbyt optymistycznie, ale to była jedyna, naprawdę ostatnia nadzieja, która jej pozostała.

Restauracja klubowa była widoczna z daleka, nawet bez wchodzenia do budynku. Na drewnianej werandzie z widokiem na morze dostrzegła rząd stołów nakrytych białymi obrusami... a przy jednym z nich - z całą pewnością - siedział człowiek, z którym chciała się zobaczyć!

Był tylko jeden szkopuł. Esquerez nie był sam. Tuż przy nim, wyraźnie oczarowana tym, co mówił, siedziała olśniewająco piękna czarnowłosa kobieta.

Niech to szlag! Niby w jaki sposób ma go zaczepić, jeśli on jest w towarzystwie tej dziewczyny? Zbędzie ją bez trudu jednym słowem. Na pierwszy rzut oka widać było, że to nie jest jakaś przypadkowa znajoma. Zastanawiając się gorączkowo nad następnym krokiem, Kate schowała się przed słońcem w cieniu rozłożystego drzewa.

Kątem oka zerknęła na werandę. Kimkolwiek jest ta ciemnowłosa piękność, pomyślała, musi być szalona, jeśli nie boi się zadawać z takim człowiekiem jak Esquerez!

Ale to jej problem. Ona miała wystarczająco dużo własnych kłopotów. Co, do diabła, powinna teraz zrobić? Nie przychodziło jej absolutnie nic do głowy...

Zauważyła, że Esquerez przywołuje do stolika kelnera - i z czystej ciekawości, nie przeczuwając, że los za chwilę podsunie jej rozwiązanie problemu - stała nieruchomo, obserwując scenę na werandzie.

Powiedziawszy zaledwie kilka słów, Esquerez wręczył kelnerowi coś, co wyglądało jak kluczyki do samochodu. Młody mężczyzna odwrócił się, odszedł szybkim krokiem, znikając na moment z jej pola widzenia, a potem wyłonił się przez główne drzwi i ruszył w stronę parkingu.

Zatrzymał się przy białym terenowym nissanie. Kiedy włożył kluczyk do zamka - a więc miała rację! - Kate pokręciła głową. Czyż to nie typowe dla takiego Esquereza - wysyłać kelnera, żeby wyjął coś z samochodu, zamiast przejść się samemu kilka kroków?

Ale to właśnie ów kelner popełnił pewne niedopatrzenie, które miało mieć istotne i dalekosiężne konsekwencje. Kiedy wyjął z przedniego siedzenia paczkę i mocno zatrzęsął drzwi, kluczyki wypadły z zamka na trawę. Wyraźnie rozkojarzony tym zdarzeniem, schylił się, żeby je podnieść - i odszedł, zapominając o zamknięciu drzwi kluczykiem.

Dopiero kiedy zniknął w restauracji, Kate wyszła z ukrycia i przemknęła między drzewami do nissana. Taki samochód musiał należeć do Esquereza, a nie do dziewczyny. Wielkie terenowe auto, z napędem na cztery koła, doskonale pasowało do jego wizerunku silnego macho, doszła do wniosku. A co więcej, zauważyła z bijącym sercem, pojazd był przygotowany do podróży.

W tylnej części, między niezliczoną liczbą toreb i pakunków, wypatrzyła coś, co wyglądało na zwinięty namiot, i kilka pudeł z przyborami kuchennymi. Sprzęt, którego potrzebowałyby podczas podróży do Cabayanów!

A więc jechał tam! Teraz była już tego pewna. I w tej samej sekundzie zrozumiała, dlaczego los sprawił, że znalazła się w tym miejscu.

Nie po to, żeby z nim rozmawiać. Nie po to, żeby od nowa strzepić język, ale postawić go przed faktem dokonanym.

Drżącą ręką otworzyła drzwi. Czy mu się to podoba, czy nie, pojedzie z nim!

## ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy wreszcie usłyszała zbliżające się kroki, prawie dwie godziny później, była u kresu wytrzymałości - gotowa porzucić cały plan, byle tylko wydostać się z celi tortur, na którą sama się skazała.

Zdawało jej się, że wszystko dokładnie przemyślała. Ułożyła się w tylnej części nissana, między zwiniętym namiotem a przyborami kuchennymi, i nakryła się po czubek głowy podróżnym pledem. Przy odrobinie szczęścia Esquerez mógłby nie odkryć jej obecności aż do pierwszego nocnego postoju, a wtedy byłiby już daleko w drodze i nie opłacałoby mu się zawracać.

Nie przewidziała jednak, że będzie czekała na niego w nie osłoniętym przed słońcem samochodzie aż dwie godziny!

Oddychała wolno, wachlując się dłonią i modląc się, żeby wreszcie przyszedł. Nigdy dotąd nie doznała podobnej tortury. Miała wrażenie, że udusi się albo ugotuje w tym rozgrzanym, zaparowanym wnętrzu, i kiedy już chciała się poddać, usłyszała upragniony głos Esquereza.

Skrzywiła się tylko, usiłując leżeć nieruchomo jak posąg. Co za ironia losu, że akurat jego głos - tego zarozumiałego gbura - sprawił jej taką radość!

Rozmawiali po hiszpańsku. Kate nie rozumiała ani słowa, ale rozpoznała kobiecy głos, prawdopodobnie jego przyjaciółki. Biedna, naiwna kobieta, pomyślała. Jeśli traktuje go naprawdę poważnie, można jej tylko współczuć!

Dopiero kiedy usłyszała Vittoria mówiącego: *Adios, querida*, odetchnęła z ulgą, domyślając się, że nadeszła pora rozstania. Potem była krótka cisza - Kate wyobraziła sobie ich pożegnalny uścisk - i wreszcie odpowiedź dziewczyny.

- *Vaya con Dios. Buen viaje*. Jedź z Bogiem. Udanej podróży.

Kate odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała zbliżające się kroki, potem zgrzyt klucza, który nie dał się przekręcić w zamku, i ciche przekleństwo, gdy Esquerez zorientował się, że drzwi były nie zamknięte. W końcu usiadł za kierownicą.

Serce zabiło jej żywiej, kiedy włączył silnik. Udało się! Nie zauważył jej! Chwilę później omal nie wyskoczyła spod koca, żeby mu podziękować za to, że włączył na pełny regulator klimatyzację.

Po kilku minutach, kiedy jechali główną ulicą Manili, znowu czuła się jak człowiek. Uniosła rąbek koca i odetchnęła głęboko, odważywszy się nawet zerknąć na śniadą twarz kierowcy, który mknął ku peryferiom Manili, nieświadomy, że wiezie pasażera na gapę.

Punkt dla mnie, pomyślała tryumfalnie, moszcząc się wygodniej w swojej kryjówce. Zdawała sobie jednak sprawę, że jej tryumf jest tymczasowy. Decydującą potyczkę miała przed sobą.

Kate obudziła się gwałtownie na dźwięk muzyki i zadziwiająco melodyjnie wtórującego jej barytonu.

Otrząsnęła się i, korzystając z wysokiego poziomu decybeli, ułożyła się wygodniej pod kocem. Zastanawiała się, jak długo mogła spać. Na zewnątrz było ciemno i sądząc po wertepach, na których

dobrze resorowany samochód podskakiwał i grzechotał jak zabawka, już dawno musieli zjechać z głównej drogi.

Mogła sobie pogratulować. Jej plan działał. Być może krótsza droga dzieliła ich teraz od ziemi Cabayanów niż od Manili!

W pewnej chwili śpiew, który wprawiał ją w dobry nastrój, raptownie ustał. Esquerez wyłączył kasetę i mruknął coś pod nosem, kiedy samochód szarpnął, zaczął chybotać się i trząść, aż w końcu obrócił się gwałtownie i stanął w miejscu.

Usłyszała zgrzyt hamulca ręcznego, a potem szarpnięcie klamki. Serce skoczyło jej do gardła. Esquerez wyskoczył z samochodu i zbliżał się do tylnych drzwi... To był ten nieunikniony moment, którego tak panicznie się bała.

Zsunąwszy z twarzy koc, wczepiła się w niego kurczowo palcami i czekała jak skazaniec. Gra skończona.

Dalsze ukrywanie się nie miało sensu. Kiedy usłyszała zgrzyt klucza w zamku, wszystkie zapamiętane kiedyś modlitwy cisnęły jej się na usta. Boże, miej litość, spraw, żeby nie wpadł w szal...

Drzwi otworzyły się i Kate zacisnęła powieki, oślepiona światłem latarki. Usłyszała wściekłe warknięcie, a potem wypowiedziane zduszonym głosem pytanie:

- Co, do diabła? - Chwycił ją za rękę i bezceremonialnie wyciągnął na zewnątrz.

Omam nie upadła, kiedy dotknęła stopami ziemi, ale Esquerez podtrzymał ją żelaznym uściskiem i jeszcze raz zaświecił latarką prosto w oczy.

- Co jest, do cholery? W co pani się ze mną bawi? - wycedził, piorunując ją morderczym spojrzeniem.

- Nie miałam wyboru! Co innego mogłam zrobić? Przecież nie chciał mnie pan ze sobą zabrać!

- Właśnie, *señorita*, nie chciałem. I mądrzej byłoby się z tym pogodzić!

Przerażona wyrazem jego twarzy, nagle zdała sobie sprawę, że jest gdzieś w środku filipińskiej dżungli, zdana na łaskę człowieka, którego prawie nie zna. Poczula, że nogi się pod nią uginają, i chcąc go jakoś uspokoić, wymamrotała skruszona:

- Nie chciałam pana denerwować. Myślałam, że potrafi pan zrozumieć...

- Tak? Naprawdę tak pani myślała? - spytał drwiącym, ale spokojniejszym już tonem. - A może nawet spodziewała się pani, że sprawi mi przyjemność swoim widokiem? Cóż, z przykrością panią rozczaruję, ale jedyną rzeczą, która sprawiłaby mi w tej chwili przyjemność, byłoby skръcenie pani szyi!

I gotów był to zrobić. Widziała to w jego oczach, które pałały nienawistną furia.

- Niech pan tylko spróbuje mnie dotknąć! Będę walczyć, mam więcej siły, niż na to wyglądam!

- To świetnie! - parsknął, a potem cofnął się raptownie i uwolnił jej ramię. - W takim razie mogę panią bez żadnych skrpułów zostawić tutaj samą. Sprawdzi pani swoją odwagę i siłę.



- Nie zrobi pan tego! - Ledwie się powstrzymała, żeby nie złapać go za rękę. - Jak miałabym przeżyć sama w środku dżungli? Tu są dzikie zwierzęta!

- Pewnie, że tak - przyznał tonem, w którym nie było cienia litości. - Powinna była pani pomyśleć o tym wcześniej.

- Ale musiałam się z panem zabrać! - powiedziała błagalnie. - Przysięgam, że nie chciałam panu sprawić kłopotu. Nie myślałam, że pan aż tak to odbierze...

- Pani w ogóle nie myślała, *señorita*. Skąd pani wie, że może mi ufać? Czy to w pani zwyczaju wybierać się samej w podróż z mężczyznami, których pani nie zna?

- Nie. Ale nie przypuszczałam, że będzie pan sam. Myślałam, że zabierze pan przewodnika.

- W charakterze przyzwoitki? - uśmiechnął się pobłaźliwie. - Kogoś, kto by panią chronił przede mną, gdyby naszły mnie zdrożne myśli? - Rozejrzał się wymownie po rozległej, pustej polanie. - A więc nie mamy przyzwoitki? I co pani na to?

Kate nabrała powietrza, siłą woli nie opuszczając wzroku.

- Nie pozostaje mi nic innego, niż polegać na pana wrodzonym poczuciu rycerskości. Zapewniał mnie pan o swoim szlachetnym pochodzeniu, więc liczę po prostu na to, że zachowa się pan w przyzwoity i cywilizowany sposób.

- Jest pani lekkomyślna, *señorita*, delikatnie mówiąc, ale też inteligentna. - Uśmiechnął się łaskawie. - Potrafi się pani odwołać do szlachetniejszej strony męskiej natury. Moje gratulacje.

Kate odwzajemniła uśmiech. Odwołała się do jego męskiej próżności - i najwyraźniej trafiła w czuły punkt. Ale jego następna uwaga miała zburzyć jej świeżo odzyskany spokój.

- A jednak obawiam się, *señorita*, że oczekuje pani zbyt dużo. - Uśmiech znikł mu z twarzy. - To jest dżungla, a dżungla nie jest cywilizowana. Tutaj przeżywa najsilniejszy i najsprawniejszy, a nie najbardziej przyzwoity. Mówiłem już, że moje reguły postępowania nie są pani regułami. A dżungla też ma własne reguły. Surowe i okrutne.

- Próbuje mnie pan przestraszyć?

- Nie przestraszyć, tylko ostrzec.

- To bardzo uprzejme z pana strony.

- Nie staram się być uprzejmy. Chcę tylko panią uczulić na niebezpieczeństwa.

Czuła, jak jej serce uspokaja się i zaczyna bić normalnym rytmem. Przyglądała się jego twarzy, szlachetnej, a jednocześnie surowej, i nagle ogarnęła ją całkowita pewność, że nie musi się go obawiać. Vittorio de Esquerez mógł ją straszyć groźnymi gestami i szorstkimi słowami, ale nigdy nie zrobiłby jej krzywdy.

Poza tym, mimo że od swoich kolegów dziennikarzy słyszała o nim same złe rzeczy, nawet najzagorzalsi jego wrogowie nie pomawiali go o mordercze instynkty.

- Myślę, że mogę panu ufać - powiedziała, patrząc mu śmiało w oczy. - Wierzę na słowo, że jesteśmy w środku dżungli, ale nie wygląda pan na typa, który mógłby się zachować jak dzikie zwierzę.

Dopiero gdy zobaczyła szatański uśmiech na jego twarzy, zdała sobie sprawę z niezamierzonego podtekstu swojej deklaracji. Skuliła się, zażenowana, a Esquerez wyciągnął rękę i dotknął jej włosów.

- Nie wyglądam? Przeciwnie, *señorita*, jeśli tylko pani sobie życzy, z największą ochotą zachowam się jak dzikie zwierzę.

Dotyk jego ręki przejął ją dreszczem. Odsunęła się gwałtownie i spojrzała na niego hardo - modląc się w cichości ducha, żeby nie zauważył wypieków na jej policzkach.

- Jedyne, czego sobie życzę, to żebyśmy się zachowywali jak dwoje cywilizowanych ludzi i starali się jak najlepiej wybrnąć z tej sytuacji. W końcu... - zawahała się przez moment - ...co się stało, to się stało.

- To prawda. - W jego głosie znowu zabrzmiał lodowaty ton. - Ale równie dobrze może się odstać. Ma pani na to moje słowo.

Czy to miała być następna groźba? Kate rzuciła mu wojownicze spojrzenie.

- A niby jak zamierza pan tego dokonać? Chce pan wrócić ze mną do Manili?

- Prawdę mówiąc, nie chcę. - Uśmiechnął się smętnie. - Ale też nie ma mowy, żeby pojechała pani ze mną do Cabayanów.

- Więc co pan ze mną zrobi? - szarżowała dalej, nie dając po sobie poznać, że ogarnęła ją panika. - Przywiąże do drzewa i zostawi mnie tutaj?

- Radziłbym nie podsuwać mi takich kuszących pomysłów. Rozwiązanie, o którym ja myślę, choć może mniej filmowe, będzie

humanitarne, a równie skuteczne. Mam przyjaciela w małej przybrzeżnej wiosce, mniej więcej jeden dzień drogi stąd. Będę musiał nadłożyć trochę drogi, ale z radością się poświęcę, żeby dowieźć tam panią bezpiecznie i zapewnić powrót do Manili.

Ogarnęła ją rozpacz. Tak blisko celu i tak daleko!

- Ale dlaczego? Skoro mamy za sobą taki kawał drogi, chyba może mnie pan zabrać dalej...?

Odwrócił się, wyjął z samochodu namiot i niecierpliwym gestem cisnął go na ziemię.

- Nigdy! Ostrzegałem panią od początku, że za żadne skarby nie zawiozę pani do Cabayanów!

- Ale dlaczego? Nie będę dla pana ciężarem! Dlaczego nie chce mnie pan zabrać?

- Już jest pani ciężarem - odburknął. - A ja nie muszę się tłumaczyć! - Chwycił namiot i ruszył z nim gdzieś przed siebie, zostawiając Kate samą.

Nagle ogarnęły ją ciemności. Esquerez zabrał latarkę i jedynymi świetlistymi punktami, które rozpraszały gęsty mrok nocy, były ledwie jarzące się tylne światła nissana. Poczowała się jeszcze bardziej nieswojo, gdy zdała sobie sprawę, że otacza ją głęboka, martwa cisza.

Byli na małej polanie, obrośniętej drzewami tak gęstymi i tak wysokimi, że zasłaniały światło księżyca. Kto wie, jaka bestia mogła wyskoczyć zza tych drzew i rozszarpać ją na kawałki...

Rosnący w Kate strach walczył z dumą, która podpowiadała jej, że powinna zostać tu, gdzie stoi, i zignorować Esquereza. Ale gdy

gdzieś w ciemności usłyszała trzask gałązki, pożegnała się z dumą. Ruszyła za nim na drżących nogach, bliska płaczu.

Kiedy podeszła do niego bez słowa, Esquerez szybko i sprawnie rozwijał namiot. Nie podnosząc nawet głowy, wręczył jej latarkę.

- Proszę mi poświecić - rozkazał.

- Rozkłada pan namiot? - spytała tylko po to, żeby zagłuszyć nieznośną ciszę.

- Tak, rozkładam swój namiot - burknął. - Mam nadzieję, że pani ma własny.

Oczywiście wiedział, że nie miała żadnego namiotu, i chciał jej to wypomnieć. Spuściła oczy, nie mając nic na swoje usprawiedliwienie. Jako dziennikarka, która zjechała już pół świata, miała pełną świadomość, że w taką podróż zabiera się wszystko, co jest konieczne do przeżycia. A ona wybrała się w dżunglę z torbą, której zawartość ograniczała się do grzebienia, kilku pesos, notatnika i ołówka!

- Nie spodziewałam się, że tu wyląduję... - Czowała się idiotycznie, ale musiała z tego jakoś wybrnąć. Jedyным wyjściem było powiedzieć mu prawdę. - Pojechałam do Yacht Clubu, żeby z panem porozmawiać. Ukryłam się w samochodzie, bo nagle zdarzyła się taka okazja, nie planowałam tego...

- A ja nie spodziewałem się towarzystwa - powiedział beznamietnie, zakładając rozwinięty namiot na stelaż. - To jest jedynka, przeznaczona, jak sama nazwa wskazuje, dla jednej osoby.

- To gdzie ja mam spać? Pod drzewem?

- Jeżeli ma pani ochotę dzielić posłanie z mieszkańcami tego lasu, proszę bardzo. Ja, na pani miejscu, wolałbym samochód.

- Dobrze - zgodziła się natychmiast, oczyma wyobraźni zobaczywszy najrozmaitsze pełzające gatunki „mieszkańców tego lasu”. - Będę spała w samochodzie.

- Mądry wybór, *señorita*. - Drewnianym młotkiem wbił w ziemię ostatniego śledzia, a potem wyszarpnął z ręki Kate latarkę i bez słowa ruszył do samochodu.

Szła jego śladem, gotując się ze złości. Hiszpański arystokrata wychowany w lesie! Kiedy zatrzymał się, stanęła kilka kroków za nim, patrząc, jak wyjmuje z samochodu plastikową butelkę. Zwilżyła językiem spierzchnięte usta - woda, co za luksus! - i łakomym wzrokiem śledziła każdy jego ruch, kiedy podniósł butelkę i pociągnął długi, wolny łyk. Pospiesz się! - popędzała go bezgłośnie. Teraz moja kolej!

Ale Esquerez przestał pić, otarł usta wierzchem dłoni i... ogarnęła ją panika, kiedy odwrócił się, żeby odstawić butelkę do samochodu.

- A ja?

- Słucham? - spytał z udawanym zdziwieniem. - Jako zawodowy antropolog, uczestniczyła pani na pewno w niejednej takiej wyprawie, więc mam nadzieję, że wzięła pani przynajmniej zapas jedzenia i picia. Mój wystarczy dla jednej osoby.

- Dobrze pan wie, że nie wzięłam ze sobą niczego! I wytłumaczyłam już panu dlaczego! Muszę się napić! Jestem odwodniona!

- Powinna była pani pomyśleć o tym wcześniej, zanim się pani zakradła do mojego samochodu. - Patrzył w jej oczy bez cienia współczucia, ale w końcu odkręcił butelkę. - Tyle warte były zapewnienia, że nie będę miał z panią kłopotu. Jest pani, *señorita*, jednym wielkim kłopotem!

Podniósł butelkę, ale kiedy spróbowała ją chwycić, rozmyślnie się cofnął.

- Chwileczkę. - Sięgnął jeszcze raz do samochodu i wyjął z pudła kilka pigułek. - Sól w tabletkach. Diabli wiedzą, ile jej pani straciła razem z potem, czekając na mnie w nagrzanym samochodzie.

A więc nie był aż takim sadystą. Potrafił się nawet zdobyć na odruch współczucia. Gdy jednak połknęła tabletki i napiła się wody - najszlachetniejsze wino nie smakowałoby jej bardziej - zaczęła poważnie wątpić, czy kierowało nim współczucie. Prawdopodobnie wolał nie ryzykować, że dotrze do swojego przyjaciela z trupem w samochodzie!

- Proponuję, żebyśmy nie tracili czasu i położyli się spać. - Odwrócił się i wyjął z nissana śpiwór. - Chciałbym wyruszyć o świcie, zanim robi się gorąco. Jeżeli jest pani głodna, w pudle są herbatniki. Ja się obędę bez kolacji, zjadłem obfity lunch.

Co za hojność! Ale ugryzła się w język i pokręciła tylko głową.

- Ja też nie jestem głodna. Tylko zmęczona.

- W takim razie dobranoc.
- Dobra... - Tylko tyle zdołała powiedzieć.

Esquerez ledwie się odwrócił, kiedy usłyszała głośny szelest, a potem dźwięk podobny do kaszlu. Odskoczyła na bok, wypuszczając z ręki butelkę.

- Co to było? - wychrypiała, łapiąc się z gardło. - Coś tu jest, za tymi drzewami!

Esquerez uśmiechnął się pobłaźliwie, podniósł butelkę i sprawdził przezornie, czy jest zakręcona. Potem spojrzał na poszarzałą twarz Kate i powiedział z rozbawieniem:

- Za tymi drzewami, w całym tym lesie, jest wiele rzeczy, *señorita*. Wiele rzeczy, których nie widzimy. Ale nie ma powodu do obaw, większość z nich jest niegroźna. To, co pani słyszała, to był pewnie jakiś ptak... albo coś innego.

Mimo sporej ilości wody, którą przed chwilą wypła, ze strachu zaschło jej w gardle. Pewnie jakiś ptak, powtórzyła w myśli. Ale to złowieszcze „coś innego” przyprawiało ją o gęsią skórkę. Zerknęła na Esquereza spod półprzymkniętych powiek.

- Nie może pan zrobić dla mnie miejsca w namiocie?
- Chce pani spać ze mną? - Uniósł brew. - Nie spodziewałem się tego... tak szybko.
- Nie chcę spać z panem, *señor* Esquerez. Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze. Proszę tylko o miejsce w namiocie.



Patrzył na nią długo w milczeniu, jakby bił się z własnymi myślami, wreszcie sięgnął do samochodu, wyjął podróżny pled i zarzucił go na ramię.

- *Vamos!* - Nie spojrzawszy nawet w jej stronę, ruszył do namiotu.

Otworzył klapę i wrzucił do środka śpiwór.

- Może pani w nim spać - powiedział krótko. - Honor dżentelmena wymaga ode mnie tego drobnego poświęcenia.

Honorowi dżentelmena zawdzięczała najpewniej i to, że zrobił jej tę uprzejmość i rozebrał się na zewnątrz. Zdjęła w pośpiechu spodnie i wsunęła się do miękkiego, chłodnego śpiwora. Dzięki Bogu, że istnieje coś takiego, jak honor, zaśmiała się w duchu.

Kiedy Esquerez wczołgał się do namiotu, leżała odwrócona do niego plecami, udając, że śpi. Odpowiedziała cichym mruknięciem na jego „dobranoc”, ale nagle coś zaświtało jej w głowie. Byłoby mądrze, pomyślała, uświadomić mu fakt, że widziała go z ciemnowłosą dziewczyną w Yacht Clubie i że domyśla się natury ich związku. Gdyby w środku nocy jego honor osłabł pod wpływem niekontrolowanej cielesnej pokusy, takie przypomnienie pomogłoby mu ją okiełznać...

- Mam nadzieję - zaczęła gładkim tonem - że pana dziewczyna nie miałaby panu za złe tej sytuacji. Może jej pan powiedzieć, że to było zupełnie niewinne.

Niemal widziała, jak się uśmiecha.

- Noc jest jeszcze młoda. Wstrzymajmy się do rana z oceną, czy będzie zupełnie niewinna. - A kiedy fuknęła ze złością i wsunęła się głębiej do śpiwora, dodał na pożegnanie: - Miłych snów. Proszę się nie martwić, obudzę panią, jeśli będę czegoś potrzebował.

Ale zasnęła dużo wcześniej niż ona. Wsłuchana w jego spokojny, rytmiczny oddech, patrzyła w mrok, każdym nerwem swojego ciała odczuwając boleśnie jego bliskość. Może to jednak nie był dobry pomysł? Nie była sama, ale i tak czekała ją chyba bezsenna noc.

Ogromne zmęczenie zrobiło jednak swoje i w końcu zaczęły jej się kleić oczy. Właśnie zapadała w sen, kiedy tuż za nią rozległ się łomot i trzask. Poderwała się, na wpół przytomna, i usłyszała zduszony krzyk grozy, który wydobył się z jej własnego gardła. Wyciągnęła rękę do Esquereza i potrząsnęła go za ramię.

- Tam coś jest, Vittorio! Słyszałam to!

Vittorio odwrócił się z westchnieniem i delikatnie, ale stanowczo zmusił ją, żeby się położyła.

- To nic takiego, *querida* - mruknął czule. - Nie zwracaj na to uwagi i spróbuj zasnąć. - Naciągnął śpiwór na jej ramiona, potem przysunął ją do siebie i mocno objął. - Śpij, *querida* - szepnął miękko, wtulając twarz w jej włosy. - Jestem z tobą. Nic ci nie grozi. Jesteś zupełnie bezpieczna.

- Tak - szepnęła, zahipnotyzowana jego słowami, czując, jak ogarnia ją senne, błogie zadowolenie.

Chwilę później spała kamiennym snem.

Kate obudziła się rano wypoczęta i nieco rozczarowana, choć z drugiej strony zadowolona z tego, że Vittorio już wstał, zostawiając ją samą w namiocie.

Prawie zarumieniła się, przypominając sobie, że zasnęła w jego ramionach jak dziecko. I chociaż wiedziała, że powinna czuć się nieswojo, wydawało jej się, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Zaniepokojona, odsunęła od siebie tę myśl, włożyła sfatygowane beżowe spodnie i przeczesła palcami włosy. Czowała, jakby to było naturalne, bo umierała ze strachu, a Vittorio de Esquerez, cokolwiek by o nim mówiono, należał do rzadkiego typu mężczyzn, którzy wzbudzają u kobiet poczucie bezpieczeństwa.

Wygładziła kremową bawełnianą bluzkę i wsunęła stopy w skórzane sandały. Do diabła, musiała wyglądać żałośnie... Mniejsza o ekwipunek turystyczny, ale nie mogła sobie darować, że nie była na tyle przewidująca, żeby wziąć ze sobą przynajmniej ubranie na zmianę. Nie miała nawet szczoteczki do zębów! Ledwie zaczął się dzień, a ona czuła się zażenowana swoim niechlujnym wyglądem - i nic nie mogła na to poradzić.

Poczuła się jeszcze gorzej, gdy wyszła z namiotu i zobaczyła Vittoria. Świeży jak poranek, w czystych niebieskich džinsach, siedział pod najbliższym drzewem, pochylony nad turystyczną kuchenką.

- Dzień dobry - powitał ją z uśmiechem w oczach. - Mam nadzieję, że noc była przyjemna.

- Spałam dobrze, jeśli to miałeś na myśli.

- A cóż innego mógłbym mieć na myśli? Robię śniadanie, jak widzisz. Podejrzewam, że po dobrze przespanej nocy wrócił ci apetyt.

- Umieram z głodu - odpowiedziała szczerze i podeszła bliżej, żeby zajrzeć do patelni. Cokolwiek to było, pachniało cudownie.

- To miejscowa potrawa. Suszona ryba z ryżem. - Vittorio przykrył szczelnie patelnię. - Będzie gotowa za jakieś dwadzieścia minut. Masz czas na szybki prysznic. - Wstał i pokazał jej oparte o drzewo wiadro z wodą. - Dam ci kubek, którym będziesz mogła nabierać wodę.

Jakby czytał w jej myślach. Marzyła o porządnej toalecie, ale ten kubek z wiadrem nie wzbudził w niej entuzjazmu.

- Ty to nazywasz prysznicem? Musi być jakiś lepszy sposób.

- O co ci chodzi? - Wzruszył ramionami. - Boisz się, że mogę cię podglądać? Nie martw się - zadrwił - twoja skromność nie dozna z mojej strony najmniejszego uszczerbku.

Nie chodziło jej tylko o skromność. Zmrużywszy zawadiacko oczy, postanowiła sprawdzić słuszność swoich podejrzeń.

- Założę się, że ty nie myślesz się za pomocą wiadra i kubka!

- Prawdę mówiąc... nie - odpowiedział po chwili zastanowienia.

- Za tymi drzewami jest sadzawka, w której się wykapałem.

- Więc ja mogę zrobić to samo! Dlaczego od razu mi o tym nie powiedziałeś?

- Dlatego, że moim zdaniem byłoby lepiej, gdybyś skorzystała z mojej rady i umyła się tutaj, za pomocą wiadra i kubka - odpowiedział, cedząc słowo po słowie.

- Niby dlaczego? To, co jest wystarczająco dobre dla ciebie, jest dobre i dla mnie. Idę się wykąpać.

- Nie radzę - powiedział gardłowym głosem i zagroził jej drogę.

- Ale dlaczego? Chcę wiedzieć!

- Po prostu skorzystaj z mojej rady, choć raz. Zadajesz zbyt dużo pytań.

- Taki mam zwyczaj. Lubię zadawać pytania! Więc jeśli mi nie powiesz, dlaczego nie mogę wykąpać się w tej sadzawce, zrobię to.

- Rób, co chcesz - powiedział oschle. Potem odwrócił się gwałtownie i odszedł.

Jasne, że będę robić dokładnie to, co chcę, mruknęła do siebie i zniknęła za drzewami. Za kogo on się, do diabła, uważa? Jakim prawem jej rozkazuje?

Może dlatego, że w nocy zachowała się trochę nerwowo, ubzdurał sobie, że może ją traktować jak dziecko. Nic z tego! Nie jest dzieckiem, tylko niezależną młodą kobietą, która potrafi sobie sama radzić.

Znalazła sadzawkę nie dalej niż dwadzieścia metrów od namiotu - oczko chłodnej zielonej wody, otoczone eukaliptusami i bujnymi krzewami. Zdjęła bluzkę i spodnie, przepłukała je szybko i powiesiła na gałęzi drzewa. Potem rozejrzała się wokoło, żeby upewnić się, czy

przypadkiem Vittorio jej nie śledzi, i zrobiła to samo z bielizną. Teraz mogła pozwolić sobie na to, o czym marzyła od godziny.

Z błogim uśmiechem zanurzyła się w chłodnej wodzie, czując, jak całe jej ciało pokrywa gęsia skórka. Przepłynęła kilka metrów żabką, a potem odwróciła się na plecy i bezwładnie unosząc się na wodzie, przyglądała się niebu i gałęziom drzew.

To jest życie, pomyślała z radością.

Pławiła się w sadzawce dobre piętnaście minut i zostałyby dłużej, ale pamiętała o śniadaniu i wołała nie prowokować Vittoria do tego, żeby po nią przyszedł. Wyskoczyła z wody, sprawdziwszy przedtem, czy go gdzieś tu nie ma, i sięgnęła po wiszące na gałęzi ubranie.

Krew zastygła jej w żyłach, kiedy na wysokości swojej twarzy zobaczyła parę żółtych szatańskich oczu.

- Boże święty! - zdołała wyszeptać, zanim poraził ją śmiertelny strach i zamienił w posąg.

Straszliwe oczy wpijały się w nią drapieżnie.

Zimne i bezlitosne oczy węża.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Kompletnie sparaliżowana, wpatrywała się w obrzydliwe stworzenie o długim, śliskim ciele, które oplatało gałąź drzewa.

To musi być senny koszmar, próbowała sobie tłumaczyć, ale wiedziała, że nie śni. Zimne żółte oczy węża wpatrywały się w nią groźnie, jego głowa lekko się poruszyła i z głębi jadowitej szczęki wystrzelił język.

Kate miała świadomość, że bestia szykuje się do ataku. Umrę, pomyślała z rozpaczą. Boże, miej litość nad moją duszą.

Ale w tej samej chwili, kiedy straciwszy nadzieję, zamknęła oczy i czekała na moment, w którym jej dusza opuści ciało, usłyszała gwałtowne poruszenie i ostry świszczący dźwięk - jakby zimna stal przecięła powietrze. Potem rozległ się głuchy łomot, kiedy bezgłowe ciało węża runęło na ziemię.

Jakiś głos - głos anioła? - przemówił do niej łagodnym tonem:

- Już po wszystkim, Kate. Jesteś bezpieczna.

Otworzyła oczy, kiedy otoczyły ją silne ramiona i odciągnęły od drzewa. Ciepłe usta musnęły jej czoło i nagle poczuła, że nie jest w stanie powstrzymać łez ulgi.

- Kate, maleńka... Jesteś całkiem bezpieczna. Nic ci nie grozi.

- Uratowałeś mi życie - łkała rozpaczliwie z twarzą przytuloną do jego torsu. - Gdyby nie ty, ta bestia zabiłaby mnie. Byłabym już trupem... - Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - On był jadowity, prawda?

- Jak wszystkie królewskie kobry. - Vittorio pogładził ją po włosach. - Uspokój się, kochanie. Już go nie ma. Przecież wiedziałaś, że cię uratuję. Jak mógłbym pozwolić, żeby z mojej winy stała ci się jakaś krzywda?

Kate uśmiechnęła się przez łzy.

- A ty pewnie cały czas na mnie patrzyłeś - powiedziała z lekkim wyrzutem, i dopiero teraz do niej dotarło, dlaczego tak mu zależało, żeby nie kapała się w tej sadzawce.

- Mogłeś mi po prostu powiedzieć, że tu są węże...

- Żeby cię śmiertelnie przestraszyć? Nie chciałem tego robić. I tak jesteś wystarczająco zdenerwowana. - Otarł jej łzy i pocałował delikatnie wilgotny policzek. - Nie tylko nad tą sadzawką można spotkać węża. Prawie wszędzie możesz natrafić na jakiegoś gada. - Nie przejmuj się, kochanie - szepnął, gdy skuliła się w jego objęciach. - Ze mną jesteś bezpieczna. Nie pozwolę, żeby stała ci się jakaś krzywda.

Przyłgnęła do niego mocniej, nagle czując, że ogarnia ją coś, co nie jest już strachem, i przejmuje wszystkie jej zmysły.

Westchnęła bezgłośnie, otuliła dłońmi jego twarz, i zobaczyła w jego ciemnych oczach to samo pragnienie.

Ich usta złączyły się w długim, namiętym pocałunku.

- Och, *querida* - szepnął, garnąc się do niej rozpaczliwie, błędząc palcami po jej nagich plecach.

Kiedy poczuła jego dłonie na piersiach, z jej gardła wydobył się stłumiony jęk:



- Vittorio!

Opanowało ją nieznane, cudowne uczucie. Miała wrażenie, że jest bezsilna w jego ramionach, zupełnie zniewolona... i drżąca z rozkoszy. Przez jedną krótką chwilę walczyła z pokusą, żeby ulec własnemu pożądaniu i zatracić się w tym bez reszty. Ale nieubłagany zdrowy rozsądek przyszedł jej na ratunek.

- Nie! Proszę cię! Nie wiem, co mnie opętało. - Kiedy uwolnił ją z objęć, nerwowym gestem skrzyżowała ręce na piersiach. Dopiero teraz uświadomiła sobie z całą ostrością, że jest naga. Po raz pierwszy w życiu zupełnie naga z mężczyzną.

Vittorio uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Trochę za późno na skromność - powiedział z wesołą nutą w głosie. - Widziałem już wszystko, co jest do zobaczenia.

Poczuła się głupio i zaczerwieniła po same uszy. Gdy odwróciła się, żeby pójść po ubranie, chwycił ją za rękę.

- Lepiej, żebyś tam nie szła. Ja to zrobię. Nie chcę, żebyś znowu najadła się strachu.

Oczywiście. Wąż. Kiwnęła posłusznie głową.

- Zapomniałam - mruknęła. Żywy czy martwy, nie miała ochoty go oglądać. Kątem oka patrzyła, jak Vittorio podchodzi do drzewa i zdejmuje jej rzeczy z gałęzi.

- Masz. - Rzucił jej zwinięte w kłębek, zupełnie suche ubranie. - Ubieraj się, szybko. Chciałbym wreszcie coś zjeść.

- Będziesz blisko? - spytała niemal błagalnym głosem. - Nie wracaj do namiotu, dopóki się nie ubiorę.

- Zostanę - odpowiedział z nonszalanckim uśmiechem, opierając się o drzewo. - Uważaj mnie za swojego prywatnego goryla i anioła stróża. I tylko dla ciebie, *señorita*, moje usługi są gratis.

Anioł! parsknęła w duchu, wciąż przyciskając ubranie do piersi. Przebiegła wzrokiem po jego śniadym, muskularnym torsie. Esquerez był mężczyzną z krwi i kości. Bardzo przystojnym, świadomym swojego męskiego uroku i w niczym nie przypominającym anioła!

- Czy mógłbyś łaskawie poczekać za drzewem? - Wytrzymała jego kpiące spojrzenie i dodała podniesionym tonem: - Wiem, że już wszystko widziałeś, ale nie widzę powodu, żebyś oglądał to po raz drugi!

- Co za uparta kobieta! - Wzruszył ramionami, patrząc na nią jeszcze przez moment z zuchwałym uśmiechem. W końcu uklonił się błazeńsko i schował za drzewem, tak jak sobie życzyła.

Chwilę później, w czystym, choć żałośnie pomiętym ubraniu, Kate wróciła z nim na polanę, gdzie czekało na nich gorące śniadanie. Usadowiła się wygodnie pod drzewem i patrząc, jak Vittore nakłada na talerze jedzenie, uświadomiła sobie z radością, jak bardzo zmieniła się od wczoraj atmosfera między nimi.

- Pachnie cudownie - powiedziała z uśmiechem, kiedy podał jej talerz. Patrząc mu w oczy, zastanawiała się chytrze, czy na tym ociepleniu wzajemnych stosunków mogła coś zyskać. - Umm... to smakuje jeszcze lepiej, niż wygląda - mruknęła po pierwszym kąsie. - Mam nadzieję, że twoja dziewczyna docenia twoje talenty. Trzeba mieć dużo szczęścia, żeby spotkać mężczyznę, który potrafi rozłożyć

po ciemku namiot, zabić przed śniadaniem jadowitego węża, a do tego świetnie gotuje!

Odpowiedział jej promiennym uśmiechem, ale tak jak poprzednio, w nocy, kompletnie zlekceważył wzmiankę o dziewczynie.

- To prawda - zgodził się z ironicznym błyskiem w oczach. - Mam sporo rzadkich talentów. Ale twoje komplementy, bardzo miłe skądinąd, nie zmieniają mojego zdania. - Kiedy uśmiech zgasł na jej twarzy, on rozpromienił się jeszcze bardziej. - Jak tylko skończymy śniadanie, wyruszamy do Bagu Bayo. Zostawię cię tam pod opieką mojego przyjaciela, który odwiezie cię do Manili.

Miała ochotę go kopnąć, ale była też zła na samą siebie. Powinna była się domyślić, że taki dumny twardziel jest odporny na pochlebstwa. Vittorio Felipe Salvador de Esquerez ma w nosie to, co myślą o nim inni.

- Ale dlaczego? - spytała, piorunując go wzrokiem. - Dlaczego tak się zawzięłeś? Co to za różnica, czy zawieziesz mnie do Bagu Bayo, czy trochę dalej, do Cabayanów? W czym bym ci przeszkadzała?

- Dobre sobie! - Vittorio parsknął śmiechem. - W czym byś mi przeszkadzała? Myślisz, że bawi mnie rola niańki? Że nie mam ważniejszych spraw na głowie?

Niańki? Chyba nic bardziej nie mogło jej dotknąć.

- Nigdy w życiu nie potrzebowałam niańki! - zaprotestowała. - Wyobraź sobie, że wszyscy moi koledzy w Londynie uważają, że

potrafię radzić sobie lepiej niż niejeden mężczyzna. Zjechałam sama pół świata, od Bliskiego Wschodu po Amerykę Środkową. I zapewniam cię, że mój wydawca nigdzie by mnie nie wysłał, gdyby uważał, że potrzebuję niańki!

Przerwała, żeby złapać oddech... i z przerażenia oblał ją zimny pot. Jak mogła być tak bezmyślna!

Widziała, jak tężeją mu rysy. Zamiast pogodnego Vittoria, siedział teraz przed nią wściekły Esquerez, którego wyraz twarzy budził grozę.

- Twój wydawca? Szefami antropologów nie są wydawcy.

Wstrzymała oddech, patrząc mu w oczy z bijącym sercem. Co mogła powiedzieć? Pokręciła bezradnie głową.

- No, słucham! - Cisnął talerzem o ziemię, zrzucając resztki jedzenia na trawę. - A więc nie jesteś żadnym antropologiem. Okłamałaś mnie! Jesteś dziennikarką!

- Nie chciałam kłamać. Na początku miałam zamiar powiedzieć ci prawdę.

- Wygląda na to, że niczego nie planowałaś, tylko wszystko samo jakoś wyszło! - Poderwał się na równe nogi i spojrzał na nią z góry. - Nie chciałaś wkraść się do mojego samochodu! Nie chciałaś mnie okłamywać! Co jeszcze udało ci się zrobić niechcący?

- Wymyśliłam tego antropologa, bo gdybym ci powiedziała, że jestem dziennikarką, odmówiłbyś mi pomocy.

- I tak ci odmówiłem. Mogłaś sobie oszczędzić wysiłku!

- W takim razie to nie ma większego znaczenia, prawda? Nie jest tak, że zmusiłam cię podstępem do zrobienia czegoś, co sprzeciwiałoby się twoim zasadom.

- Nie ma znaczenia dla ciebie! - mówił z coraz większą furją. - Jeżeli jest coś, czego po prostu nie znoszę, to łgarstwa!

- Nie jestem łgarzem!

- Właśnie, że tak! I to niezłym!

- Nie! Skłamałam tylko dlatego, że nie miałam innego wyjścia. Byłam w rozpacz. Jeżeli nie zrobię tego reportażu, mogę stracić pracę!

- To nie mój problem. Guzik mnie to obchodzi. Może zasługujesz na to, żeby stracić pracę!

- Ty bezduszny draniu! - Łzy cisnęły jej się do oczu.

Jeśli ona straci pracę, jej brat będzie musiał rzucić studia i marzenie jej życia - ich wspólne marzenie - że kiedyś Liam zostanie lekarzem, rozwieje się na zawsze. Ale nie zamierzała o tym mówić Esquerezowi.

- A skoro prawda wyszła na jaw, to może opowiesz mi całą historię? Dla jakiej gazety pracujesz? I czego dokładnie tu szukasz?

Podniosła się na sztywnych nogach. Siedząc zgarbiona na ziemi, podczas gdy on stał nad nią wyprostowany, z rękami wciśniętymi w kieszenie, zaczęła czuć się żałośnie. Wyprężyła się jak struna i patrząc mu prosto w oczy, oświadczyła z godnością:

- Pracuję dla magazynu „Deadline”. Przyjechałam tu, żeby napisać reportaż o plemieniu Cabayanów.

- Ach tak? - Niespodziewanie na jego ustach pojawił się rozbawiony uśmiezek. - Biedny stary Ramos. Musiał być rozczarowany. Na pewno miał nadzieję, że najpierw sprzeda tę historię komuś z „Time'a" albo z „Newsweeka".

- Rozumiem, że ten tytuł nigdy nie obił ci się o uszy. - Nie zdziwił jej ten złośliwy komentarz, poczuła się jednak w obowiązku bronić honoru swojego pisma. - Jest mało znany poza Wielką Brytanią, ale „Deadline" to poważny i ceniony magazyn.

- Poważny i ceniony! Szkoda, że nie zatrudnia poważnych i godnych szacunku dziennikarzy zamiast nachalnych młodych kobiet, które nie znają innych sposobów na zbieranie materiałów niż za pomocą oszustwa! - Odwrócił się gniewnie, ale zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na nią przez ramię. - Myślałaś, że już jesteś blisko i że napiszesz o Cabayanach artykuł swojego życia? Nic z tego! Teraz z jeszcze większą przyjemnością zapewnię ci szybki powrót do Manili!

Wiedziała, że byłoby daremnym wysiłkiem próbować zmienić jego zdanie, przynajmniej w tej chwili. Ale nawet przez moment nie przyszło jej do głowy, żeby się poddać. Musiała tam dotrzeć - przede wszystkim dla dobra Liama, ale teraz jej determinacja była jeszcze większa. Nic nie sprawiłoby jej większej przyjemności niż postawienie na swoim i zagranie na nosie Vittoriowi de Esquerezowi!

Droga do Bagu Bayo okazała się wąskim traktem wyrąbanym w dzikiej, gęstej dżungli. Kate musiała przyznać w duchu, że nie miała pojęcia, jak to naprawdę wygląda. Skóra jej ścierpła na myśl, że

mogłaby się wybrać w taką podróż sama. Cokolwiek by mówić o Esquerezie, przynajmniej czuła się z nim bezpiecznie.

Zerkała na niego kątem oka z coraz większym podziwem. Jechał przez dżunglę z taką swobodą, jakby to była jego codzienna droga do pracy - nie sprawdzając niczego na mapie, z niezwykłą zręcznością omijając skały, wyrwy albo leżące gałęzie.

Może rzeczywiście robił to bardzo często. Zdała sobie nagle sprawę, jak mało wie o tym człowieku. Ze swoim gwałtownym temperamentem, ciągłymi zmianami nastroju nie pasował do żadnego stereotypu. Nie przypominał żadnego znanego jej mężczyzny. Był dla niej kompletną tajemnicą.

Odwróciła się do niego i postanowiła przerwać trwające zbyt długo milczenie.

- Powiedziałaś mi, dlaczego tak mi zależy na dotarciu do Cabayanów. Chcę o nich napisać. A ty? Co cię tam ciągnie?

- To też włączysz do swojego reportażu? - Rzucił jej wrogie spojrzenie. - Chcesz zrobić ze mną wywiad?

- Nie, naprawdę! To zwykła prywatna rozmowa... Spytałam z czystej ciekawości.

- Z mojego doświadczenia wynika, że dla dziennikarzy nie istnieje coś takiego jak prywatna rozmowa. Zawsze węszą jakiś łup.

Co za beznadziejny, pokrętny cynik! Wolą jednak przełknąć gorzką pigułkę, niż dać za wygraną.

- Myślałam, że twoja firma zajmuje się projektami architektonicznymi na wielką skalę. Centra konferencyjne w

Hongkongu, pięciogwiazdkowe hotele w Singapurze... Skąd nagle to, nie związane z biznesem, zainteresowanie plemieniem Cabayanów?

Choć starała się panować nad głosem, w ostatnim zdaniu zabrzmiała nuta nieufności. Pamiętała przecież, co powiedział o Esquerezie Ramos: że chce wykorzystać Cabayanów jako tanią siłę roboczą i pozbawić ich ziemi.

- Zdaje się, że sporo o mnie wiesz - odpowiedział beznamiętnym tonem.

- Na tym polega moja praca. Dobry dziennikarz to taki, który dużo wie.

- Więc jednak jesteś dobrą dziennikarką. Kilka minut temu powiedziałaś, że grozi ci wylanie z pracy.

- Raczej degradacja.

- Degradacja. Rozumiem. Więc tak naprawdę martwisz się tylko tym, że obetną ci honoraria.

Niech sobie szydzi, ile dusza zapagnie, pomyślała z zimną furją. Obcięcie honorariów może nie brzmi tak drastycznie, ale jest tragedią, jeżeli od wysokości tych honorariów zależy los ludzi, których się kocha.

- Tak, właśnie tym się martwię. Nie mogę znieść myśli, że będę musiała sobie odmawiać szampana i kawioru albo że będę zmuszona zamknąć rachunek u Yves Saint-Laurenta.

Vittorio wybuchnął śmiechem i odwróciwszy się na moment, rzucił okiem na jej wygniecioną bluzkę i spodnie.

- To stamtąd pochodzi kreacja, którą masz na sobie?



- Spójrz na siebie! - Kate zerknęła na jego wypłowiały T-shirt. - Siedzenie najnowszych trendów w modzie raczej nie jest twoim hobby.

- Moja praca tego nie wymaga.

- No właśnie... - Zmrużyła chytrze oczy. - A na czym polega twoja praca?

- Zdaje się, że przed chwilą sama mi to powiedziałaś. Kieruję firmą, która buduje pięciogwiazdkowe hotele w Hongkongu i centra konferencyjne w Singapurze. A od czasu do czasu włączam się w sprawy nie związane z biznesem, jak to określiłaś.

Kate wiedziała, co ma na myśli. Dowiedziała się o tym w Hongkongu.

- Mówisz o swoim krótkotrwałym zaangażowaniu w projekt ośrodka dla młodzieży w manilskich slumsach?

- Kto ci o tym powiedział? Ramos? Wyobrażam sobie, ile musiał nałgać.

- To nie Ramos. - Ale Kate nie była skłonna zdradzać mu swoich źródeł informacji. Gdyby dowiedział się, że opowiedzieli jej o tym w Hongkongu miejscowi dziennikarze, znowu usłyszałaby coś miłego o swojej profesji! Ważne było tylko to, co jej mówili - że Esquerez wycofał się z projektu, gdy tylko stało się jasne, że nie przyniesie on żadnych zysków.

Ale to była stara historia. Teraz chciała przede wszystkim poznać cel jego wyprawy do Cabayanów.

- Dlaczego nienawidzisz Ramosa?

- Dlatego, że sprzeciwiam się wszystkiemu, co on robi w tym kraju. Ale jego dni są policzone. Moja w tym głowa.

- Ale co tak naprawdę masz przeciwko niemu? Sprawia wrażenie hojnego biznesmena, który wspiera naukę i różne pożyteczne przedsięwzięcia. Dlaczego chcesz mu to utrudniać?

Vittorio zaśmiał się pogardliwie.

- Nie doceniasz mnie. Ja nie zamierzam mu tego utrudniać, *querida*. Ja z tym skończę raz na zawsze. Właśnie to powiedziałem mu w jego biurze - i z tym zamiarem jadę do Cabayanów. - Odwrócił do niej głowę i dodał złowrogim tonem: - Jaka szkoda, że nie obejrzysz tych fajerwerków. Miałabyś o czym napisać do tego swojego nudnego szmatławca!

- Za co tak nienawidzisz dziennikarzy?

- Za szkody, jakie wyrządzają. Nienawidzę ich za sposób, w jaki uganiają się za sensacjami, nie zastanawiając się nawet, kogo przy okazji mogą zniszczyć.

Więc uważał, że ona należy do tego typu dziennikarzy, którzy wchodzą oknem, gdy wyrzucają ich drzwiami, i żerują na ludzkich nieszczęściach. Musiała wyprowadzić go z błędu.

- Chyba mnie źle oceniasz. „Deadline” nie jest skandalizującym brukowcem. To poważne pismo informacyjne. Artykuły, które publikujemy, nie wyrządzają nikomu krzywdy. Przeciwnie, bardzo często nasze materiały interwencyjne odnoszą dobry skutek i pomagają ludziom w sprawach, które wydawały się beznadziejne.

- Jednym słowem, masz poczucie, że jesteś dobrą samarytanką - powiedział z bezlitosną drwiną. - Wiesz co, lepiej już nic nie mów. Mógłbym tego nie zdzierżyć. Jest środek dnia, trochę za wczesna pora na łzawe opowieści. - Nonszalanckim gestem włączył kasetę i z kwadrofonicznych głośników ryknął koncert Rodriga „W ogrodach Aranjuezu”.

Co za bezczelny facet! Miał dosyć rozmowy, więc po prostu uznał ją za zakończoną! Zaciśnęła ręce w pięści, żeby nie dać ponieść się furii i nie wyłączyć kasety. Odwróciła się do niego i krzyknęła głośniej, niż to było konieczne:

- Nie lubisz, kiedy ktoś się z tobą nie zgadza, prawda? Tolerujesz tylko ludzi, którzy ci potakują. Ciekawe, skąd u ciebie to cholerne poczucie wyższości.

Zignorował ją zupełnie, jakby nie dotarło do niego ani jedno słowo. Zmarszczył tylko lekko czoło, udając, że koncentruje się na prowadzeniu i patrzył prosto na drogę.

Kate aż kipiała złością. Jeśli czegoś naprawdę nie znosiła, to świadomości, że ktoś ją lekceważy. Podniosła głos o kilka decybeli.

- Powiedziałam, że nie lubisz ludzi, którzy się z tobą nie zgadzają! - Nie doczekawszy się żadnej reakcji, sięgnęła gwałtownie do odtwarzacza, żeby wyłączyć kasetę.

Nie zdążyła. Z szybkością atakującej kobry Vittorio chwycił ją za nadgarstek.

- Szukasz zaczepki? - warknął. - Masz ochotę powalczyć?

- Po co miałabym szukać zaczepki? - Zamrugła nerwowo, zaskoczona gwałtownością jego reakcji. - Zadałam ci tylko pytanie.

- Tak? A mnie to zabrzmiało jak zaczepka.

Miał rację, oczywiście, ale ani myślała mu jej przyznawać.

- Chcesz mi amputować rękę? Czy po prostu lubisz się znęcać nad bezbronnymi kobietami?

- Więc teraz jesteś bezbronna? - Wciąż ją trzymał. - Zdaje się, że mówiłaś, że potrafisz sobie poradzić w każdej sytuacji.

- Potrafię, kiedy mam do czynienia z cywilizowanymi ludźmi. Przyznaję, że nie mam doświadczenia w obcowaniu z dzikusami!

- Przecież wiedziałaś, że jestem dzikusiem. Nie powinnaś była ryzykować po raz drugi. Chyba że... - Przemknął wzrokiem po jej twarzy. - Chyba że masz szczególne upodobanie do dzikusów.

- Nie pochlebiaj sobie! - Ale natychmiast odwróciła wzrok. Było w jego tonie coś niepokojącego, leciutka nuta seksualnej prowokacji, która sprawiła, że jej serce zaczęło bić jak oszalałe. Ten łomot odbijał się w skroniach. - Nie pochlebiaj sobie! - powtórzyła z bezsilną złością. - Gdybym nie musiała jechać do Cabayanów, omijałabym cię skutecznie i do głowy by mi nie przyszło, żeby cię o cokolwiek prosić.

- Miło mi to słyszeć. - Wypuścił jej rękę i wściekłym gestem wyłączył kasetę. - Zawsze to jakaś ulga dowiedzieć się, że wzajemna antypatia to jedyne, co mamy ze sobą wspólnego.

Kate poprawiła się w fotelu i roztarła obolały nadgarstek. Przynajmniej w jednym się zgadzali. Wzajemna antypatią była jedyną rzeczą, która ich łączyła. Nie zamierzała jednak pozwolić, żeby do

niego należało ostatnie słowo. Patrząc nieruchomo w szybę, powiedziała kąśliwym tonem:

- A tak przy okazji, nie musisz mi zdradzać celu swojego zainteresowania Cabayanami. Ramos mi już powiedział, co ci chodzi po głowie. Chcesz wykorzystać tych biednych ludzi do pracy. Interesują cię tylko pieniądze, które możesz na nich zarobić.

Nie odezwał się ani słowem. Nawet się nie poruszył. Złość, która się w niej gotowała, przerodziła się w ślełą furię.

- Jesteś naprawdę wyjątkowym draniem. Nic i nikt cię nie obchodzi, bylebyś miał nad wszystkim kontrolę!

Ledwie wypowiedziała ostatnie słowo, samochód zatrzymał się z przerażającym piskiem. Kate zaparła się rękami o deskę rozdzielczą, dziwiąc się, że nie wybiła głową szyby.

- Co to było? - Rozejrzała się nieprzytomnie dookoła, jakby spodziewała się ujrzeć dzikie zwierzę, które niespodziewanie zastąpiło im drogę. Ale trakt przed nimi był pusty. Zdawało się, że nie ma powodu, dla którego Vittorio zahamował tak gwałtownie.

Nie spojrzawszy na nią, otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu.

- Mam ochotę na przerwę. Zrób kawę. Dzbanek i cała reszta są w pudle, przy tylnych drzwiach.

Brakowało tylko pstryknięcia palcami. *Señor* de Esquerez po prostu wydał polecenie!

- Mówisz do mnie? - spytała przez zaciśnięte zęby.

- A do kogo miałbym mówić? Widzisz tu jeszcze kogoś?

- Myślałam, że zwracasz się do jakiegoś służącego. Nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby mówiono do mnie tym tonem.

- *Señorita*, jesteś przewrażliwiona - powiedział prawie szeptem, opierając się o drzwi samochodu. - O ile dobrze pamiętam, gotowa byłaś pełnić w tej podróży funkcję kucharki i pomocnika do wszystkiego. Więc trzymam cię tylko za słowo. - Uśmiechał się kąpiąco, wpijając w nią ciemne, roziskrzane oczy. - Jeżeli oboje mamy już jasność sytuacji, bądź tak uprzejma i zrób kawę.

Warknęła pod nosem. Gdyby miała wybór, zrobiłaby mu raczej miksturę z arsenikiem.

- Aha... - Już miał odejść, ale zatrzymał się na moment, jakby o czymś zapomniał. - To, o czym mówiłaś kilka minut temu... Wyjątkowo masz rację. Zamierzam utrzymać nad wszystkim kontrolę - na ziemi Cabayanów i wszędzie tam, gdzie przyjdzie mi na to ochota. Takie pętaki jak Ramos czy ty, mogą sobie gadać, co im się żywnie podoba, ale tracą tylko czas. Zrobię to, co zaplanowałem, i nikt mi w tym nie przeszkodzi!

Kiedy zniknął jej z oczu, Kate zatrzęsła się ze złości. Arogancja tego człowieka nie miała granic. Ale jeśli liczył na to, że wystraszy ją tym żalonym popisem grubiaństwa, gorzko się rozczaruje!

Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, zdecydowana była osiągnąć swój cel. Musi znaleźć jakiś sposób, choćby tylko po to, żeby zrobić mu na złość - dotrze do Cabayanów i napisze reportaż swojego życia! Tym razem wszechwładny Vittorio de Esquerez kompletnie nie docenił przeciwnika!

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Dotarli do Bagu Bayo, tak jak przewidział Vittorio, kilka godzin przed zmierzchem.

Po niemal całym dniu jazdy przez gęstą i, wydawałoby się, bezkresną dżunglę las nagle zaczął się przerzedzać. Wkrótce zobaczyli przed sobą pokrytą zaroślami otwartą przestrzeń, a na niej grupkę drewnianych domów na palach.

Po nieprzyjemnej monotonii dżungli, z jej mroczną, groźną ciszą, to miejsce było jak upragniony oddech cywilizacji.

Ciemnowłosi, opaleni mężczyźni, w T-shirtach albo w samych spodniach, i kolorowo ubrane kobiety, o długich i lśniących włosach, zajmowali się niespiesznie swoimi sprawami, a gromada roześmianych bosych dzieci bawiła się pod drzewem z maleńkim szczeniakiem.

Kiedy nissan, wzbijając za sobą tumany kurzu, przejeżdżał wolno między domami, mijał małą kawiarenkę, a potem sklep spożywczy, ludzie odwracali się z uśmiechem i machali do kierowcy, jakby witali przyjaciela.

- Wygląda na to, że cię tu znają - zauważyła z przekąsem Kate, nie rozumiejąc, dlaczego tak się cieszą na

Jego widok. Być może, pomyślała z cyniczną rezerwą, ktoś im zapłacił za ten spektakl.

Vittorio skręcił gwałtownie na utwardzoną drogę i po kilku sekundach ich oczom ukazał się magiczny widok - Połyskująca w słońcu szafirowa tafla morza.

Chwilę później zbliżyli się do małego osiedla domów zbudowanych w południowoeuropejskim stylu - ze starannie utrzymanymi ogródkami od frontu i ładnymi, kwiecistymi werandami.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Vittorio, wjeżdżając przez dwuskrzydłową stalową bramę na brukowany różowymi kamieniami podjazd. - Tutaj mieszkają Alfonso i Didi. To z nimi zabierzesz się z powrotem do Manili. - Lekceważąc jej warknięcie, nacisnął klakson i wysiadł z samochodu. Po kilku sekundach wybiegła z domu ładna, uśmiechnięta Filipinka.

- Vittorio! - pisnęła radośnie, rzucając mu się na szyję. - Co za niespodzianka! Dlaczego nie uprzedziłeś nas, że przyjedziesz?

- Wyglądasz ślicznie! - Vittorio objął ją mocno, wywołując dyskretny uśmiech Kate, która przyglądała się tej scenie z boku.

Dziewczyna, zapewne Didi, wyglądała jak krucha lalka w ramionach wysokiego Hiszpana, i było oczywiste, że łączyła ich wielka sympatia.

Kate poczuła się dziwnie, może nawet była trochę wzruszona, oglądając to autentycznie czułe powitanie. Po raz pierwszy widziała Vittoria z naturalnym, radosnym uśmiechem na ustach. Nawet w Yacht Clubie ze swoją dziewczyną nie wydawał się tak swobodny.



Kate wyszła z nissana, nieco oszołomiona, i czekała, aż Vittorio zechce ją przedstawić. Didi na jej widok zmieniła się na twarzy, zamrugła, i z błyskiem zdziwienia w oczach zwróciła się do Vittoria.

- Jesteś z przyjaciółką... - zauważyła uprzejmie, wyraźnie zbita z tropu.

- Raczej znajomą, i to bardzo niedawno poznaną - poprawił ją szybko. - To Kate O'Shaughnessy, jest dziennikarką z Londynu, i trochę się, niestety, zgubiła. Przyjechałem do was z nadzieją, że zabierzecie ją z powrotem do Manili.

- Z przyjemnością! - zgodziła się Didi. - Alfonso jest teraz w elektrowni, ale powinien wrócić za jakąś godzinę. - Zwróciła się do Kate z zatroskaną twarzą: - Dżungla filipińska jest zbyt niebezpiecznym miejscem dla samotnej kobiety. Miałaś dużo szczęścia, że spotkałaś Vittoria.

- Byłem w drodze do Cabayanów - wtrącił Vittorio, zanim Kate zdążyła coś powiedzieć. - Spotkałem ją w środku dżungli. Szczerze mówiąc, nie miałem czasu na to, żeby z nią zawracać, a wiem, że ty i Alfonso często jeździcie do Manili. Pomyślałem sobie, że dodatkowy pasażer nie zrobi wam kłopotu.

- Oczywiście, że nie! Chcemy wybrać się tam jutro. Nie mogłeś lepiej trafić!

Kate zacisnęła zęby i próbowała zrobić uprzejmą minę. Musiała zrezygnować z planu, który ułożyła sobie w głowie, zanim Vittorio wszystko popsuł. Miała nadzieję, że jeśli spowoduje zamieszanie i zda się na łaskę jego przyjaciół, może zdoła przeciągnąć ich na swoją

stronę i wspólnie przekonać Vittoria, żeby ustąpił. Ale Didi okazała się tak miłą osobą, że Kate postanowiła odstąpić od tego pomysłu. Nie miała ochoty stwarzać nieprzyjemnej atmosfery w tak życzliwym i gościnnym domu.

Muszę wymyślić inny sposób, pomyślała, uśmiechając się smętnie, gdy Didi zaprosiła ich do środka.

Siedzieli w jasnym, przestronnym salonie, pijąc kolejną kawę i pogryzając ciasteczka, rozmawiając swobodnie o tym i owym, gdy nagle Vittorio zwrócił się do Didi z niezrozumiałym dla Kate pytaniem.

- No więc jak tam nasz projekt? Jak wam idzie? Mam nadzieję, że bez większych problemów?

- Żadnych problemów! - odpowiedziała entuzjastycznie. - Wszyscy mieszkańcy wioski są zadowoleni. - Zerknęła z uśmiechem na Kate. - Gdybyś widziała to miejsce rok temu!

Kate wzruszyła niepewnie ramionami. Nie miała pojęcia, o czym Didi mówi.

- Vittorio nie opowiadał ci o wiosce? - Spojrzała na niego, potem z powrotem na Kate, która pokręciła tylko głową. - Nie powinien być taki skromny! Ta wioska to jeden z projektów Vittoria. Jest ich dużo więcej na całych Filipinach. Widzisz, mnóstwo ludzi w małych osadach żyje w bardzo prymitywnych warunkach - bez prądu, bez dróg, bez żadnych szkół - i celem jego projektu jest zmienić to wszystko. Tu, w Bagu Bayo, dzięki Inwestycjom Budowlanym Esquereza, powstała już elektrownia i nowa szkoła. Za pół roku będzie też szpital.

Możesz sobie wyobrazić, jak to miejsce się zmieniło. Ludzie myślą, że to jakiś cud. - Odwróciła się ze śmiechem do Vittoria. - I że ty jesteś cudotwórcą!

Okropnie zakłopotana, Kate podążyła za wzrokiem dziewczyny i utkwiała spojrzenie w śniadej, nieprzeniknionej twarzy mężczyzny, który siedział naprzeciw niej. Jeżeli to, o czym mówiła Didi, było prawdą, a nie miała powodu jej nie wierzyć, sprawy wyglądały zupełnie inaczej, niż przedstawiał je Ramos i cała reszta!

Usłyszała zaledwie część historii, ale wszystko wskazywało na to, że Esquerez - człowiek, którego potępiła jako skończonego drania i krwiopicę - był w rzeczywistości publicznym dobroczyńcą!

- Moim zdaniem - odezwał się po chwili, starannie unikając wzroku Kate - to twój mąż, Didi, jest prawdziwym cudotwórcą. To on realizuje projekt. Dzięki niemu to wszystko idzie, jak trzeba. Aha... - Na odgłos zbliżającego się samochodu jakby odetchnął z ulgą. - O wilku mowa!

Didi poderwała się gwałtownie i podeszła do okna.

- Masz rację, to Alfonso! - Rozpromieniła się jak zakochana nastolatka. - Wrócił trochę wcześniej. Musiał się dowiedzieć, że tu jesteś! - Pobiegła do drzwi, żeby uściskać męża, a chwilę później do pokoju wszedł uśmiechnięty mężczyzna w roboczym ubraniu koloru khaki.

Był niższy od Vittoria, ale miał taką samą hiszpańską karnację, identycznego koloru oczy i włosy. Kate od pierwszego wejrzenia poczuła do niego, tak jak wcześniej do Didi, ogromną sympatię. Byli

cudowną parą, pomyślała nie bez cienia zazdrości, kiedy usiedli na kanapie, ramię przy ramieniu, spoglądając sobie w oczy. Tego rodzaju parą, z którą zwyczajnie chciało się przebywać.

Już po zmierzchu zjedli kolację, bardzo wystawną - z tradycyjnym pieczonym prosiakiem, mnóstwem warzywnych dodatków i sosów. Na deser były rozpływające się w ustach ryżowe ciasteczka.

Kate zauważyła z ulgą, że nikt z trójki przyjaciół nie poruszył sprawy jej przymusowego powrotu do Manili. Czowała się w ich towarzystwie tak dobrze, że myśl o bliskim rozstaniu nie nastrajała jej najlepiej.

Szczęśliwie, wszyscy byli jak najdalsi od rozmowy na ten temat. Kate słuchała z rozbawieniem wesołych męskich przekomarzań. Patrząc na Vittoria i Alfonsa, wprost nie mogła uwierzyć, że pierwszy jest szefem ogromnej korporacji, a drugi jego pracownikiem, zwykłym inżynierem realizującym jeden z projektów firmy. Najwyraźniej owa różnica pozycji nie zagrażała ich autentycznej przyjaźni.

- Było wspaniale, gdy ruszyła budowa elektrowni i przez jakiś czas Vittorio mieszkał u nas - zwierzyła się jej Didi, kiedy wspólnie przygotowywały w kuchni kawę. - To trzecia budowa, za którą odpowiedzialny jest Alfonso. Niedługo czeka nas następna. I kolejna przeprowadzka.

- Nie czujesz się samotnie, mieszkając w takich miejscach?

- Nie! Nigdy nie czuję się samotnie, jeśli Alfonso jest blisko, i zawsze staram się włączać w życie wioski. Uczę kobiety haftu,

różnych takich rzeczy. Czasami mam zajęcia w szkole. Oczywiście zdarza mi się tęsknić za życiem w mieście. Dlatego spędzamy w Manili prawie wszystkie weekendy. Odwiedzam rodzinę, przyjaciół, robię zakupy. Wiesz, że tutaj nie można dostać świeżego mleka? - Roześmiała się, ustawiając na tacy filiżanki i dzbanek z kawą. - Ale to niesamowite, jak łatwo człowiek się adaptuje w nowym środowisku. Tęskniłabym za życiem na wsi, gdybym musiała wrócić na stałe do miasta.

Kate wcale jej się tak bardzo nie dziwiła. Bagu Bayo, w potocznym sensie prymitywne i położone na odludziu, było jednak fascynującym miejscem. Poza tym sam udział w przedsięwzięciu, które zmieniało oblicze takich wiosek, musiał sprawiać Didi i Alfonsowi ogromną satysfakcję. Nie mówiąc już o ich małżeństwie, dzięki któremu mogli czuć się szczęśliwi w każdym miejscu na kuli ziemskiej.

W czasie całego wieczoru zdarzył się tylko jeden epizod, który popsuł Kate nastrój, choć tak naprawę nie powinien jej w ogóle obejść. A jednak ręka, w której trzymała filiżankę z kawą, zdrząła jej wyraźnie, kiedy Alfonso, ni stąd, ni zowąd, zapytał Vittoria o jego dziewczynę.

- No więc, powiedz nam wreszcie, co słyhać u Carmen?

- Wszystko dobrze - odparł z uśmiechem. - Zapracowana jak zwykle.

- A jak się rozwija jej nowa firma?

- Mówiąc skromnie, kwitnie! Ale znasz Carmen. Do czegokolwiek się weźmie, idzie jej jak z płatka. Ten dom mody, który teraz prowadzi, robi furorę. Swoją drogą, ona robi to, co naprawdę lubi i do czego ma talent.

Kate tłumaczyła sobie, że może dlatego poczuła się nieswojo, bo jako jedyna z całej czwórki nie знаła dziewczyny Vittoria. Co gorsza, zdała sobie nagle sprawę, jak żałośnie musi wyglądać w swoim pomiętym ubraniu. W tej samej sekundzie stanęła jej przed oczami zjawiskowo piękna, elegancka młoda kobieta, którą widziała w Yacht Clubie. Tamta dziewczyna za żadne skarby nie pokazałaby się nikomu w takim stroju!

Didi spojrzała na Kate z przepraszającym uśmiechem.

- Zdaje się, że nie wiesz, o kim mówimy. Carmen jest przyszłą panią de Esquerez.

Przyszłą panią de Esquerez? Kate zerknęła na Vittoria, jakby dla potwierdzenia tej informacji.

- Uchodzimy za przyszłe małżeństwo. - Uciekł w bok wzrokiem i wyraźnie nie mając ochoty rozwijać tematu, uśmiechnął się do Didi.

- Świetna kawa!

Do końca wieczoru nikt więcej nie wspomniał o Carmen, a Kate szybko wróciła do równowagi i przestała zaprzętać sobie głowę tą sprawą. W końcu, co ją mogło obchodzić, że jakaś dziewczyna jest narzeczoną Vittoria? Nie interesowała się jego prywatnym życiem.

Z tą myślą dotrwała do końca wieczoru, a potem położyła się z nią do łóżka. Jak na złość jednak, pomimo że była wyczerpana

całodzienną podróżą, ułożenie się do snu zajęło jej więcej czasu niż zwykle.

Męczyło ją tyle spraw. Opowieść Didi o Vittorio dobroczyńcy, tajemnica Ramosa i jej własne położenie. Wciąż przecież nie wiedziała, jak przekonać Vittoria, żeby zabrał ją do Cabayanów.

Ale żadna z tych myśli nie dręczyła jej tak uparcie jak ta o ciemnowłosej piękności, o której wzmianka sprawiła jej tego wieczoru niespodziewany ból. Nagle jedno kobiece imię i jedna twarz zaczęły ją prześladować. Nie była w stanie myśleć o niczym innym.

Carmen.

Rano obudziły ją odgłosy gorączkowej krzątaniny. Musiała być jedyną osobą w domu, która nie wstała jeszcze z łóżka. Przeciągnęła się i ziewając, spojrzała na zegarek. Była za kwadrans ósma, późno jak na tropiki, gdzie pracę zaczyna się bardzo wcześnie, bo popołudniowy upał jest nie do zniesienia.

Wyskoczyła spod prześcieradła, modląc się, żeby zastać jeszcze Vittoria. Wciąż nie wiedziała, jak to zrobić, ale była zdecydowana przekonać go, żeby zmienił zdanie i zabrał ją ze sobą. Podwinęła rękawy pidżamy Alfonsa - wszystkie nocne koszule Didi były dla niej za małe! - potem podeszła do okna, otworzyła okiennice i wychyliła się na zewnątrz.

Nieprawdopodobne! O tej porze nie świeciło słońce! Ze zmarszczonym czołem spojrzała na niebo. Poczowała się jak w Anglii!

Gruba warstwa chmur wisiała nisko nad ziemią. Cóż, tu przynajmniej było ciepło. Nie można wymagać, żeby słońce świeciło każdego dnia.

Włożyła przygotowane dla niej wspaniałomyślnie spodnie i koszulę Alfonsa - trochę za długie i za obszerne, ale, ratując się skórzanym męskim paskiem, zdołała doprowadzić swój wygląd do jako takiego stanu. Samo to, że wreszcie miała na sobie coś uprasowanego, sprawiło ją w dobry nastrój. Jej rozpaczliwie sfatygowane ubranie zabrała wieczorem Didi.

- Upiorę je i uprasuję, zanim wyruszymy do Manili - obiecała troskliwie, nie domyślając się, że Manila nie była upragnionym celem podróży jej gościa.

Po błyskawicznej toalecie Kate zeszła do kuchni, gdzie zastała tylko Didi, z dziwnie zasepioną twarzą, ale odwróciwszy się na dźwięk kroków, Filipinka natychmiast się rozchmurzyła.

- Dzień dobry! Dobrze spałaś?

- Jak kamień. Przepraszam, że tak późno wstałam. Mam nadzieję, że nie opóźniłam wam wyjazdu.

- Nie przejmuj się. Wygląda na to, że nikt z nas nie pojedzie dzisiaj zbyt daleko.

- Dlaczego? Coś się stało?

- Jeszcze nie, ale wkrótce się stanie - odpowiedziała niskim głosem. - Myślę, że za kilka godzin.

Kiedy Vittorio wszedł do kuchni, Kate spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Obawiam się, że nadciąga tajfun. Musimy go tu przeczekać.



- Tajfun? - powtórzyła, niezbyt świadoma znaczenia tego słowa. Poczula jedynie ulgę i radość, gdy dotarło do niej z całą jasnością, że los podarował jej zawieszenie wyroku.

- Chyba wiesz, czym jest tajfun? - Patrzył na nią beznamiętnie swoimi pięknymi czarnymi oczyma.

- Oczywiście, że wiem! - Znowu sobie z niej kpił. - Ale muszę przyznać, że nigdy tego nie doświadczyłam.

- Więc wkrótce doświadczysz. I będziesz mogła o tym napisać. - Podszedł do zlewozmywaka, żeby umyć ręce. - Zanim zerwie się wiatr, niebo stanie się czarne. Zauważyłaś chyba, że już jest ciemno?

- Tak. Chociaż nie miałam pojęcia, co to znaczy.

- To zwykle pierwszy znak, że zbliża się tajfun. Następnym znakiem będzie deszcz, na początku zwyczajny, niezbyt rześisty, ale z nadejściem wichury zamieni się w ulewę. - Wytarł dokładnie ręce i odłożył na bok ręcznik. Potem podszedł do lodówki i wyjął dzbanek z wodą. - Wichura będzie straszna. Bądź na to przygotowana. Nigdy w życiu nie widziałaś czegoś podobnego. Spójrz na te palmy za oknem. Teraz stoją prosto, ale kiedy uderzy tajfun, będą zgięte wpół. Wszystko, co nie jest w stanie ugiąć się pod siłą wiatru, może być roztrzaskane albo wyrwane z korzeniami. Tajfun nie zna litości. Dlatego sprawdziliśmy z Alfonsem dach i umocniliśmy ogrodzenie.

Uśmiechnął się, widząc, jak posępnieje jej twarz.

- Nie martw się, ten dom się nie zawali. Zagrożone są wszystkie domy w wiosce. Zamknij tylko dokładnie okiennice, zostań w środku i nic ci się nie stanie.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała nieśmiało, lekko urażona jego radą. - Na pewno znalazłoby się dla mnie jakieś zajęcie.

Vittorio nalał sobie wody do kubka, napił się i odstawił dzbanek do lodówki. Odwrócił się, kiedy był już przy drzwiach.

- Masz zostać tutaj. Dam ci znać, jeśli znajdę zajęcie dla sprawnej kobiety. - Przyjrzał się jej uważnie, od góry do dołu, i błysk rozbawienia przemknął po jego twarzy. - Dobrze ci w tej kreacji.

- Wybrałam na dzisiaj kostium a la Charlie Chaplin - odpowiedziała z zawadiackim uśmiechem. - Przy drzwiach jest kapelusz i laska.

- Z przyjemnością cię obejrzę w pełnym rynsztunku scenicznym, ale później. - Uśmiechnął się jeszcze raz i szybko wyszedł.

Zwiastuny niszczycielskiego żywiołu następowały jeden po drugim, mniej więcej tak, jak to przedstawił Vittorio. Nagle niebo stało się czarne jak noc i zaczęło padać. Potem wiatr od morza stał się bardzo silny i z nieba runęła ściana deszczu. Niemal w tej samej chwili powietrze wypełnił przenikliwy, mrozący krew w żyłach, zwierzęcy ryk nadciągającego tajfunu.

Kiedy okiennice zaczęły przeraźliwie łomotać, Kate spojrzała na Didi.

- A Alfonso i Vittorio? - spytała nerwowo. - Nie powinni już wejść do środka?

- Jak ich znam, nie wrócą, dopóki wichura się nie uspokoi.

- Ale tam jest niebezpiecznie! Pewnie wszystko lata w powietrzu!

- Wiem... Lepiej mi nie mów. - W pięknych migdałowych oczach Didi czaił się strach. - Ale mieszkańcy wioski potrzebują wszelkiej możliwej pomocy, a Vittorio i Alfonso nie należą do ludzi, którzy potrafiliby w takiej sytuacji siedzieć w domu.

- Ale mogą tam zginąć! - W tej samej chwili pożałowała swoich słów i położyła dłoń na ramieniu Didi. - Jestem pewna, że wiedzą, co robią. Dwaj wielcy silni mężczyźni... Poradzą sobie!

Didi zacisnęła usta i spuściła oczy.

- Możemy tylko modlić się o to do Boga...

Ale Kate same modlitwy nie wystarczały. Kiedy Didi poprawiała sobie samopoczucie kolejną filiżanką kawy, ona miotała się po pustym domu jak zamknięte w klatce zwierzę. Złowrogi świst wiatru doprowadzał ją do szaleństwa. Co tam się dzieje?!

Kiedy poczuła, że nie zniesie tego ani chwili dłużej, rozległ się głośny, tępy łomot w łazience. Otworzyła drzwi i zobaczyła, że wichur otworzył jedną z okiennic. Podbiegła do okna, żeby ją zamknąć, wychyliła się, i przy okazji zaspokajając swoją ciekawość, sprawdziła, co się dzieje na zewnątrz.

Ku jej zdumieniu, wszędzie byli ludzie. Mieszkańcy wioski - mężczyźni, kobiety i dzieci - przemoczeni, walczący z żywiołem, który niszczył ich dobytek. Kilka osób usiłowało podtrzymać ogrodzenie, a za nim najodważniejsi ratowali swoje drewniane domy - niektóre ustawione na palach, inne zbudowane na ziemi - wszelkimi sposobami próbując nie dopuścić do zawalenia się ścian i dachów.

Co ja tu, u diabła, robię? Zadawszy sobie to pytanie, Kate zamknęła okiennicę i pobiegła do Didi.

- Wychodzę. - I wyszła, zanim Didi otworzyła usta, żeby zaprotestować.

Pierwszy gwałtowny podmuch wiatru omal jej nie przewrócił. Z zapartym tchem, zmoczona od stóp do głów, posuwała się chwiejnym krokiem w stronę najbliższej grupy ludzi. Gdy kilka głów odwróciło się w jej stronę z zaciekawieniem, krzyknęła po angielsku:

- Chcę wam pomóc! Powiedzcie, co mam robić!

Mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek z nich zrozumiał choćby słowo, ale w sytuacjach kryzysowych znikają bariery językowe. Intencje miała wypisane w oczach i na twarzy, i została powitana uśmiechami wdzięczności.

- *Miss! Miss!* - Starszy mężczyzna machał rękami w kierunku nędznej chaty, gdzie kobieta z małym dzieckiem, wtulonym w jej przemokniętą spódnicę, prowadziła z góry przegraną walkę o ocalenie ścian domu.

- Idę do ciebie! - krzyknęła Kate, przedzierając się przez dziurę w ogrodzeniu. - Zaraz ci pomogę!

A potem przemieszczała się na chwiejnych nogach od domu do domu, nie czekając na wezwanie, tylko pojawiając się tam, gdzie była najbardziej potrzebna. Straciła poczucie czasu, kiedy nagle poczuła na przedramieniu silne ręce mężczyzny, który brutalnie odwrócił ją twarzą do siebie.

- Co ty, do jasnej cholery, tu robisz? Mówiłem ci przecież, żebyś została w domu!

Był cały zabłocony, w mokrym, podartym T-shircie bez rękawów, który przylegał do jego torsu jak druga skóra. Miał brudną plamę na policzku, włosy zlepione błotnistą mazią - a jednak kiedy spojrzała w jego czarne oczy, pomyślała, że nigdy nie widziała wspanialszego widoku.

To odczucie, najwyraźniej, było jednostronne. Vittorio potrząsnął nią mocno.

- Czy Didi jest z tobą? Nie mów mi tylko, że namówiłaś ją do udziału w tym szaleństwie.

Kate próbowała wyrwać się z uścisku, wolną ręką odsuwając z twarzy mokre włosy.

- Nie, Didi jest w domu. Ale nie zmusisz mnie, żebym do niej wróciła! Zostanę tutaj, gdzie potrzebni są ludzie do pracy!

- No to się grubo mylisz! Zabieram cię w tej chwili do domu!

- Zostaw mnie! - krzyknęła, zapierając się nogami o błotnistą ziemię. - Zostaw! Nie masz prawa mnie do niczego zmuszać!

- Właśnie że mam prawo! Dopóki tu jesteś, odpowiadam za twoje bezpieczeństwo!

- Sama za siebie odpowiadam! Nie potrzebuję niczyjej opieki!

- Właśnie udowodniłaś, że potrzebujesz! Nigdy w życiu nie spotkałem kogoś tak bezmyślnego i upartego!

W tym samym momencie, szarpiąc się z nim rozpaczliwie, Kate pośliznęła się i upadła. Leżąc jak długa w błocie, spojrzała na niego iskrzącym wzrokiem.

- Nie dlatego chcesz mnie zabrać do domu, że martwisz się o moje bezpieczeństwo! Jesteś po prostu wściekły, bo nie zrobiłam tego, co mi kazałeś! Nie możesz sobie na moment odpuścić i przestać kontrolować wszystko i wszystkich? Nie rozumiesz, że przyszłam pomóc tym ludziom i że liczy się każda para rąk? Jestem tu potrzebna tak samo jak ty!

- Proszę bardzo... - Po chwili milczenia pełnego napięcia podał jej rękę i pomógł wstać. - Chodź ze mną, będziesz miała szansę pokazać, co potrafisz.

Idąc wzdłuż rwącego potoku, dobrnęli do walącej się chatki. Jej wątle ściany, smagane wichurą i deszczem, drżały, kołysząc się na boki i przeraźliwie trzeszcząc. W progu stała zgarbiona stara kobieta, kuląc się i pojękując z rozpacz. Vittorio dotknął ręką jej chudego ramienia, powiedział coś pocieszającego, i spojrzał w górę, odwracając się do Kate.

- Jej mąż - wyjaśnił, wskazując drobną postać, przycupniętą na cienkiej belce, wśród połamanych liści bananowca, które były kiedyś dachem maleńkiego domu. - Wszedł tam ze strachu przed powodzią i teraz nie może zejść. Kłopot polega na tym, że dach może się w każdej chwili zawalić. Musimy go natychmiast ściągnąć na dół.

- Ale jak to zrobimy?!

Vittorio wciągnął ją do jednoizbowej chatki i nie tracąc czasu na odpowiedź, przykucnął.

- Usiądź okrakiem na moich ramionach. - Kiedy to zrobiła, chwycił ją mocno za kostki. Wstał, przeszedł ostrożnie kilka kroków i zatrzymał się pod wielką dziurą w dachu.

- Wystaw głowę i ręce, i spróbuj go chwycić. Potem trzymaj jak najmocniej, aż staruszek ześliźnie się do dziury.

Deszcz siekł ją po twarzy, zmuszając do zmrużenia oczu. Machała na ślepo w powietrzu, aż wyczuła staruszka i mocno chwyciła go za rękę. Mężczyzna zsuwał się ku niej powoli, wreszcie poprzez łopoczące, połamane liście bananowca zobaczyła jego drobną postać.

- Teraz cię puszcze! Trzymaj się mocno nogami! - krzyknął Vittorio. I kiedy zobaczył tułów staruszka, błyskawicznie wyciągnął ręce i złapał go w połowie drogi między dachem a podłogą.

Kilka sekund później dach zapadł się do wnętrza domu. Kiedy posypały się na nich kawałki drewna i liście, Kate wciąż siedziała na ramionach Vittoria, trzymając się kurczowo jego głowy i usiłując nie stracić równowagi. Dopiero gdy para starszych ludzi uścisnęła się i przypadła do niego z podziękowaniami, kucnął, pozwalając jej zejść na podłogę.

- Dobra robota - powiedział do niej, mrużąc oko.

Nieświadomi upływu czasu, resztę dnia spędzili razem, biegając od chaty do chaty i pomagając w ratowaniu tego, co było do uratowania. Kiedy wreszcie ucichła nawałnica, znajdowali się na

odległym krańcu wioski, unurzani po kolana w błocie, pomagając biednej, dotkniętej przez żywioł rodzinie wyciągnąć dobytek z grzędawiska.

Vittorio pochwycił spojrzenie Kate i zerknął na jaśniejące niebo.

- Już po tajfunie - powiedział z uśmiechem.

- Rzeczywiście... - powiodła oczami za jego wzrokiem, prawie nie dowierzając.

- Wracajmy do domu, zanim się ściemni. - Wziął ją delikatnie pod ramię. - Na razie nic więcej nie możemy zrobić.

Dopiero w drodze powrotnej, kiedy musieli przebrnąć przez rwący potok, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona.

Zatrzymała się w sięgającej do kolan wodzie, nie mogąc zrobić ani kroku dalej i czując, że uginają się pod nią nogi.

Jakby wiedziony szóstym zmysłem, Vittorio odwrócił się, spojrzał na jej zmienioną twarz i nie pytając o nic, wziął ją na ręce.

- Chodź, jesteś wykończona. Zaniosę cię do domu. Nawet gdyby chciała, nie miała siły zaprotestować.

Z westchnieniem, które wyrażało ulgę i wdzięczność, objęła go za szyję i zamknęła oczy.

Kiedy dotarli do Alfonsa i Didi, niebo było już granatowoczarne. Kate odzyskała w drodze siły i podziękowała za to opatrności, usłyszawszy radosny gwar dobiegający z wnętrza domu.

- Kim są ci wszyscy ludzie? - Spojrzała zdumiona na Vittoria, kiedy postawił ją w zatłoczonej kuchni, gdzie co najmniej dwudziestu



mieszkańców wioski - roześmianych mężczyzn, kobiet i dzieci - siedziało w grupkach wokół świec i lampek gazowych.

- Rodziny, które zostały bez dachu nad głową. Będą tu nocować, dopóki nie odbudują swoich domów.

W progu pojawiła się Didi, z kawą i tacą kanapek.

Rozpromieniła się na ich widok i westchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu, że oboje jesteście cali i zdrowi! Spojrzała niepewnie na Vittoria. - Przysięgam, że ni mogłam jej zatrzymać!

- Nie przejmuj się, znam ją. Ta dziewczyna jest nie obliczalna.

Didi odstawiła tacę, żeby uścisnąć Kate.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę... Bardzo się o ciebie martwiłam.

- Przepraszam... Po prostu nie mogłam się powstrzymać, to było silniejsze ode mnie. A co z Alfonsem? Wszystko dobrze?

- Tak! - odpowiedziała z radosnym uśmiechem. - Nic mu się nie stało. Jest na górze, przebiera się. - Zerknęła na Vittoria, a potem z powrotem na Kate, z trudem powstrzymując chichot. - Wam przydałoby się to samo! Radzę zająć kolejkę do prysznic! Jak widzicie - potoczyła wzrokiem po zatłoczonej kuchni - dom będzie pełny dzisiejszej nocy. Poza tym nie ma prądu - wszystkie przewody są zerwane - ale będziemy musieli sobie jakoś radzić.

Spędzili gorączkowy, w pełni improwizowany, a jednak miły wieczór. Didi i Alfonso udzielili schronienia kilkudziesięciu bezdomnym ofiarom tajfunu, łącznie z gromadką uroczych, ale bardzo

hałaśliwych dzieci. I jakimś cudem wszyscy zdołali wziąć prysznic i znaleźli kąpiel do spania.

- Obawiam się, że będziemy musieli udostępnić im jedną z wolnych sypialni - Didi zwróciła się do Kate przeproszającym tonem.

- Alfonso i Vittorio mogą spać razem, a ty, mam nadzieję, nie masz nic przeciwko temu, żeby dzielić łóżko ze mną?

- Oczywiście, że nie! Szczerze mówiąc, jestem tak wykończona, że zasnąłabym na słomiance!

Ale kiedy już się położyły, to Didi natychmiast zapadła w sen, a Kate leżała z szeroko otwartymi oczami, rozpamiętując, minuta po minucie, niezwykle wydarzenia minionego dnia.

Nie miała cienia wątpliwości, że przeżyła najbardziej niewiarygodne i ekscytujące dwanaście godzin swojego życia. Mimo strachu, który nieraz zajrzał jej w oczy, gdyby miała cofnąć czas, za nic by z tego doświadczenia nie zrezygnowała. A najcudowniejszą rzeczą w tym wszystkim była duchowa więź, która wytworzyła się między nią a Vittorioem.

To poruszyło ją najgłębiej i spędzało jej teraz sen z powiek.

Czasami miała wrażenie, że walcząc wspólnie z żywiołem, czuli i myśleli jak jeden człowiek. A teraz nie mogła pogodzić się z myślą, że to były tylko ulotne chwile - że jutro znów będą obcymi sobie ludźmi. Ona impulsywną irlandzką dziennikarką, on - zamożnym filipińskim przedsiębiorcą, zaręczonym z piękną, czekającą na niego dziewczyną.

I właśnie dlatego, uświadomiła to sobie z całą jasnością, ich niespodziewane poczucie bliskości niepokoiło ją, wydawało się czymś niewłaściwym.

Jeszcze długo przewracała się z boku na bok, wzdychała ciężko, a sen wciąż nie nadchodził. W końcu zniecierpliwiona, odrzuciła na bok prześcieradło. Pomyślała, że nie ma sensu wiercić się w łóżku i ryzykować, że obudzi Didi, i że może powiew świeżego powietrza pomoże jej ochłonać. Wstała ostrożnie, zrzuciła pidżamę i włożyła własną bluzkę i spodnie. Omijając śpiących ludzi, przemknęła boso przez korytarz, otworzyła bezszelestnie drzwi i wydostała się na werandę.

Odetchnęła głęboko ciepłym, balsamicznym powietrzem i spojrzała z zachwytem na niebo.

- Widziałaś kiedyś aż tyle gwiazd?

Serce zamarło jej w piersi. Odwróciła się gwałtownie i spojrzała prosto w roześmiane czarne oczy.

- Vittorio!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Ja też nie mogłem zasnąć. Idę o zakład, że w Londynie takie noce się nie zdarzają.

- Ani w Ballyconie - zaśmiała się cicho. - Nigdzie nie widziałam tak rozgwieżdżonego nieba.

- Opowiedz mi o Ballyconie.

W świetle księżyca jego oczy mieniły się dziwnym, hipnotycznym blaskiem. Żałując nagle, że nie miała dość rozumu, żeby zostać w łóżku, Kate przeniosła wzrok na jego zmysłowe wydatne usta i charakterystyczny dołek na brodzie.

- Ballycona? Niewiele można o niej opowiadać. To zwyczajne małe miasteczko.

- Nie może być całkiem zwyczajne, jeśli żyje tam więcej takich kobiet jak ty - powiedział kuszącym głosem. - Twoja rodzina nadal tam mieszka?

- Tak, oczywiście. Moi rodzice, cztery siostry i jeden z braci. Drugi mieszka ze mną w Londynie. Studiuje medycynę.

Kiedy pomyślała o Liamie, ogarnęło ją miłe poczucie dumy i niemal jednocześnie zdała sobie sprawę, że miałby jej wiele do zarzucenia.

Niesprawiedliwie oceniła Vittoria. Sądziła, że nie spodobałby się jej bratu Pomyliła się. Teraz wiedziała, że Liam, ze swoją nieomylną intuicją w ocenie ludzi, poznałby się na nim wcześniej niż ona.

Kate zrozumiała dopiero dzisiaj, że wszystkie złe rzeczy, które opowiadano jej o Vittoriu, były wierutnym kłamstwem.

Przyglądał jej się z wyraźnym zaciekawieniem.

- Wychowałeś się w jeszcze większej rodzinie niż ja. Mam dwóch braci i dwie siostry. I przywilej... jeżeli można to tak nazwać, bycia najstarszym z rodzeństwa.

- Wiem, co masz na myśli - uśmiechnęła się współczująco. - Ja też jestem najstarsza. - Przypomniała sobie lata własnego dzieciństwa, pełnego obowiązków, kiedy bardzo często czuła się jak zastępcza matka. Poczucie odpowiedzialności zostało jej chyba na całe życie. To ono, tak naprawdę, przywiodło ją na Filipiny. Nie chciała jednak wtajemniczać Vittoria w swoje smutne sprawy.

- Podobno najstarsi z rodzeństwa szybko dojrzewają. Chociaż, bo ja wiem... - dodała z żartobliwą ironią - pewnie z chłopcami jest inaczej.

- Nie bądź taka pewna! Nawet dzisiaj, kiedy teoretycznie wszyscy jesteśmy dorośli, cała czwórka przybiega do mnie z każdym głupstwem, nie mówiąc o poważniejszych kłopotach!

Z łatwością mogła w to uwierzyć. Jego siła, stanowczość, jakaś aura niezawodności, musiały sprawiać, że reszta rodziny lgnęła do niego w każdej kryzysowej sytuacji. I nagle Kate złapała się nad tym, że zazdrościła w głębi duszy jego braciom i siostram. Co za luksus móc zwrócić się w każdej potrzebie do takiego człowieka!

- Powiedziałaś, że jeden z twoich braci studiuje medycynę. Twój ojciec jest lekarzem?

- Nie, skądże! Mój ojciec był kierowcą ciężarówki... przed wypadkiem... - zawahała się na moment, zdając sobie nagle sprawę, że dała się wciągnąć w zwierzenia, których miała nadzieję uniknąć. - Kilka lat temu miał ciężki wypadek samochodowy i został kaleką. Niestety, od tamtej pory nie może pracować.

- Bardzo smutna historia... - W jego głosie brzmiało autentyczne współczucie. - To trudne dla mężczyzny...

I dla jego rodziny, pomyślała, wzdychając bezgłośnie. Trudniejsze, niż ktoś taki jak Vittorio był w stanie sobie wyobrazić.

- W każdym razie musi być z ciebie bardzo dumny... Ja też byłem dziś z ciebie dumny.

- Dumny? - powtórzyła bezwiednie. Naprawdę powiedział „dumny”?

- Tak. I trochę zaskoczony, ale tylko trochę - przyznał, kładąc dłoń na jej policzku. - Niewiele kobiet, a zwłaszcza nie znających tego kraju, odważyłoby się zrobić to co ty.

Kate nabrała głęboko powietrza i powiedziała najswobodniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć:

- Odwaga nie ma z tym nic wspólnego. Zrobiłam pt prostu to, co trzeba było zrobić.

- Narażając się na poważne niebezpieczeństwo. - Wsunął palce pod jej włosy, gładząc ciepłą, wrażliwą szyję. - Równie dobrze mogłaś zostać w domu, tak jak cię prosiłem, i myśleć tylko o sobie. - Uśmiechnął się. - A przy okazji, jeśli chodzi o to, co mi wykrzyczałaś,

kiedy szamotaliśmy się w błocie... Nie miałaś racji. Nie dlatego byłem zły, że mnie nie posłuchałaś. Naprawdę się o ciebie bałem.

Rozsądek kazał jej uciekać, przerwać te czułości, ale coś silniejszego sprawiło, że poddała się magii chwili, gotowa przestać myśleć i ulec pragnieniu, które w niej obudził.

- Przepraszam za to, co powiedziałam. Prawdę mówiąc, jest wiele rzeczy, za które chciałam cię przeprosić. Ale powiedzieli mi o tobie tyle złego... Nie powinnam była słuchać tych bzdur.

- Czy to znaczy, że zmieniłaś o mnie zdanie? - Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek nosa.

Kiwnęła głową, czując, że jej twarz oblewa się rumieńcem.

- Ale dlaczego ludzie mówią takie rzeczy? Na przykład Ramos. Dlaczego wprowadził mnie w błąd? Co on, do licha, ma przeciwko tobie?

Vittorio położył palec na jej ustach.

- Nie psujmy sobie nastroju jakimś Ramosem... Pozwól mi się pocałować, *querida* - szepnął niskim, ochryłym głosem. - Cały dzień marzyłem o takiej chwili. Jesteś najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Wiesz o tym? - Objął ją mocniej, wplątując palce w jej puszyste rude włosy. - Cały czas, bez chwili przerwy o tobie myślę. Opętałaś mnie...

Nie mogła opanować drżenia. Zdażyła tylko bezradnie westchnąć i poczuła na wargach jego głodne usta.

Ogarnęło ją przejmujące, słodkie uczucie rozkoszy. Miała wrażenie, że jakaś siła unosi ją w powietrze. Jakby umarła i obudziła się w niebie, myślała w półsennej euforii.

- *Querida, querida...* - wyszeptał, łapiąc oddech. Przez kilka sekund nie odrywał od niej oczu i hipnotyzował pałającym wzrokiem. Pulsujące milczenie wydawało się przeciągać w nieskończoność, kiedy tak stali oszołomieni, witając nową falę dręczącego podniecenia. - *Querida, mi amor...* Jesteś taka piękna...

Przycisnął ją do siebie, jakby chcąc odbić wymarzone kształty na własnej skórze. Jego dłonie błądziły po wypukłościach jej bioder, po plecach. Nie umiała stłumić cichego jęku, kiedy zachłannymi rękami objął jej pośladki i zaczął poruszać biodrami. Nagle znieruchomiał. Głos, który z siebie wydobył, był niski i zdławiony.

- Myślę, że pora się opanować. - Delikatnym pocałunkiem musnął jej policzek. - Chodź, *querida*, wrócimy do swoich łóżek. Pójdę pierwszy.

Kate podała mu posłusznie rękę i pozwoliła zaprowadzić się na górę.

- Dobranoc, śpij dobrze.

- Dobranoc - odpowiedziała jak echo i na miękkich nogach weszła do pokoju, w którym spała Didi.

Śpij dobrze, powiedział. Uśmiechnęła się blado. Już nie zasnę.

W końcu jednak zasnęła. Spokojnym, głębokim snem. A kiedy obudziła się rano, jednej rzeczy na świecie była całkowicie pewna: że



nie jest już tą samą osobą, którą była do tej pory. Nastawiona życzliwie do całego świata, czuła się beztrosko i radośnie. Bo wydarzyło się coś cudownego i zupełnie nieoczekiwanego.

Zakochała się po uszy!

Leżała nieruchomo w pustym łóżku, zadowolona, że Didi już wstała, zostawiwszy ją samą w pokoju. Potrzebowała krótkiej chwili samotności, żeby oswoić się z tym nagłym przeobrażeniem. Miała uczucie, jakby do wczoraj ledwie istniała i dopiero teraz ożyła na dobre. Pokój, w którym się obudziła, chociaż okiennice wciąż były zamknięte, wydawał się jaśniejszy i bardziej kolorowy niż jakikolwiek inny pokój, który przychodził jej na myśl. Prześcieradła były delikatniejsze i bardziej jedwabiste w dotyku niż wczoraj, a w powietrzu unosił się słodki różany zapach.

Kate uszczypnęła się w udo, żeby sprawdzić, czy przypadkiem jeszcze nie śni. Czy mogło to wszystko sprawić kilka kradzionych o północy pocałunków? Czy jedna magiczna chwila w ramionach Vittoria mogła być przyczyną takiego cudu?

Leżała wtulona w miękką poduszkę, z uczuciem, że jej ciało jest lekkie jak piórko, wpatrzona szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami w przestrzeń. Więc to tak czują się zakochani! Zawsze się nad tym zastanawiała. Miała wrażenie, że patrzy na świat z jakiegoś niebosiężnego szczytu.

Ale brutalna rzeczywistość szybko sprowadziła ją na ziemię. Bo jaki, tak naprawdę, miała powód do radości? Miłość zapłonęła wreszcie w jej sercu, tak długo na to czekała, ale jednocześnie los

potraktował ją okrutnie. Przecież mężczyzna, w którym pozwolił jej się zakochać, należał do innej.

Vittorio de Esquerez należał do Carmen. Kate musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Nigdy nie będzie jej.

A jednak... Te piękne słowa, które jej powiedział... Te wszystkie szeptane czułości, kiedy trzymał ją w ramionach... „Jesteś najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem... Opętałaś mnie”.

Nie mówiłby takich rzeczy, gdyby naprawdę tak nie myślał... Może on nie kochał Carmen!

Kiedy Didi powiedziała, że Carmen jest przyszłą panią de Esquerez, odpowiedział enigmatycznie: „Uchodzimy za przyszłe małżeństwo”. Zabrzmiało to wymijająco i zdziwiło Kate. Może teraz już знаła powód jego rezerwy. Może nie był aż tak związany z Carmen, jak chcieli wiedzieć to inni.

Wyskoczyła z łóżka, z nową nadzieją w sercu, nagle nie mogąc się doczekać widoku jego twarzy. Wierzyła, że gdy tylko na niego spojrzy, będzie wiedziała, czy nie śni. Wyczyta swoje przeznaczenie w jego czarnych oczach.

Ubrała się szybko i z bijącym sercem zbiegła na palcach do kuchni. Był tam. Jadł przy stole śniadanie, odwrócony do niej plecami.

- Dzień dobry, *señorita*.

Wyczuł jej obecność i odwrócił wolno głowę, żeby ją przywitać. Ale kiedy spotkały się ich oczy, ledwie na sekundę, bo natychmiast

pochylił się z powrotem nad swoim talerzem, niepokój ścisnął jej gardło. Spodziewała się nieco cieplejszej reakcji.

- Dzień dobry - odpowiedziała z udawaną wesołością. Ogarnął ją strach. Czyżby miniona noc była jednak snem? Usiadła naprzeciw niego, nagle straciwszy ochotę na spoglądanie mu w oczy. Usiłując zachowywać się naturalnie, rozejrzała się po kuchni. - Gdzie się wszyscy podziali? - spytała, nie widząc i nie słysząc ani gospodarzy, ani ich gości.

- Jeśli pytasz o ludzi z wioski, wstali kilka godzin temu i poszli odbudowywać swoje domy. - Unikając jej wzroku, sięgnął po dzbanek, nalał sobie kawy i niedbałym, niemal lekceważącym gestem postawił go przed talerzem Kate. - Alfonso jest w elektrowni. Przed chwilą stamtąd wróciłem. Linia powinna być naprawiona najdalej za godzinę. A Didi poszła odwiedzić jakąś rodzinę w wiosce. Powiedziała, że nie zajmie jej to dużo czasu.

Kate patrzyła żałośnie na dzbanek, czując rosnący ból w piersi. Jak mogła być tak naiwna! Ta noc nic dla niego nie znaczyła. Zakochała się w nim jak głupia, a on, z nudów i bezsenności, zabawił się jej kosztem. To wszystko!

- O co chodzi? Masz jakieś zmartwienie? - zapytał niespodziewanie. - Radziłbym ci jednak coś zjeść. Czeka cię długa podróż.

- O której Didi i Alfonso chcą wyjechać?

- Nie jadą do Manili. - Otarł serwetką usta. - Nastąpiła, niestety, zmiana planów.

- Nie jadą do Manili? - Kate nie wierzyła własnym uszom. -  
Dlaczego?

- Po tym, co się wczoraj stało, nie mogą sobie na to pozwolić. Jest mnóstwo prac do zrobienia. Widziałaś, ile szkód wyrządził tajfun, na szczęście nikomu nic poważnego się nie stało. To cud... W każdym razie Alfonso nie może opuścić teraz wioski, tym bardziej że nie ma specjalnej potrzeby jechać do Manili.

- Więc co teraz? Kto mnie tam zawiezie?

- Nikt. - Z ciężkim westchnieniem Vittorio odrzucił na bok serwetkę. - Wygląda niestety na to, że nie mam innego wyjścia i muszę zabrać cię do Cabayanów.

Powinna wydać z siebie okrzyk radości, ale jedyne, co poczuła, to ostry, przeszywający serce ból. Wypowiedział to „niestety” z takim okrucieństwem, że łyzy ścisnęły jej gardło.

- Rozumiesz chyba mój dylemat - uśmiechnął się krzywo. - Nie bardzo mogę zostawić cię w Bagu Bayo, na nie wiadomo jak długo, bo trudno przewidzieć, kiedy Alfonso będzie miał czas, żeby pojechać do Manili. Mógłbym odwlec podróż na południe i wrócić z tobą, ale mam przeczucie, że w wiosce Cabayanów czekają na mnie bardzo pilne sprawy.

Przeczesał rękami włosy i przybrał minę bolesnej rezygnacji. Potem ściągnął surowo brwi.

- Nie myśl jednak, że zabieram cię tam po to, żebyś pisała jakiś artykuł. Nie wyrażam na to zgody. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Patrzyła bez słowa, jak z zimnym wyrazem twarzy Vittorio wstaje od stołu. Miał oczywiście rację. Nic się nie zmieniło. Poza tym, że siedząc jak skamieniała, z pobladłą twarzą, miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej serce. Fakt, że odniosła to małe zwycięstwo - niechętnie, ale jednak zgodził się ją zabrać do Cabayanów - nie sprawił jej żadnej satysfakcji. Czowała tylko pustkę i rozpacz.

Godzinę później, pożegnawszy się z Didi i Alfonsem, wyruszyli w dżunglę. Do południa pokonali dobre pięćdziesiąt kilometrów, mimo że przeprawa przez rozmyty deszczem trakt była jeszcze trudniejsza. A kiedy zaczęło zmierzchać, według wyliczeń Vittoria, byli dalej niż w połowie drogi do ziemi Cabayanów.

Jechali w milczeniu, zwracając się do siebie jedynie w konkretnych sprawach, kiedy było to absolutnie konieczne. Zatrzymali się tylko jeden raz, żeby zjeść kurczaka z ryżem, którego przygotowała im Didi.

Vittorio mógłby oczywiście łatwo usprawiedliwić swoje milczenie. Koszmarne warunki jazdy wymagały skupienia, nie mówiąc o ogromnym wysiłku. Co najmniej kilkanaście razy w ciągu godziny - Kate zadała sobie trud liczenia! - był zmuszony zatrzymać się i ściągać z traktu połamane przez wichurę pnie albo ścinać maczetą zagradzające im drogę gałęzie.

Nic dziwnego, że nie miał nastroju do rozmowy - a jednak Kate czuła, że co innego jest głównym powodem jego milczenia. Od rana zachowywał się z niezwykłą dla siebie powściągliwością.

Poczucie winy, zdecydowała. Trapiły go wyrzuty sumienia. Ze swej strony Kate była zadowolona, że ma święty spokój. Mogła przynajmniej pozbierać myśli i dojść do ładu z sobą samą. Oczywiście, była idiotką, rojąc sobie, że zwykła Kate O'Shaughnessy może konkurować z taką kobietą jak Carmen o względy Vittoria de Esquereza.

Widziała na własne oczy piękną, wytworną Carmen. Powinna była wiedzieć, jakiego typu kobiety go pociągają. Takie dziewczyny jak ona - irlandzka dziennikarka, uganiająca się po świecie za materiałem do reportażu - nadawały się do kilku skrytych pocałunków, może przelotnego romansu, a nie do tego, żeby traktować je poważnie.

Spojrzała ze złością na jego profil. Teraz była dla niego tylko zawadą i wyrzutem sumienia. Niewygodną pasażerką, przypominającą o chwili słabości. Była głupia. Powinna to przewidzieć.

Ale jej złość była ulotna. Uznała, że to strata energii, którą mogła wykorzystać w lepszym celu. Zacisnęła zęby i wyprostowała się. Jediną rzeczą, na której powinna się skupić, jest jej reportaż.

Vittorio przyznał, że chce jej przeszkodzić w zbieraniu materiałów, ale kiedy ona już tam będzie, nikt i nic jej nie powstrzyma!

Było późno, kiedy w końcu zatrzymali się, żeby rozbić obóz.  
- Rozłożę namiot, a ty zrób kolację - rozkazał, wysiadając z samochodu.

Ton jego głosu podziałał na nią jak płachta na byka, zachowała jednak spokój. Obiecała sobie przecież, że będzie go traktować z zimną obojętnością.

Kiedy odszedł na bok z namiotem, wyjęła z nissana kuchenkę i otworzyła puszkę fasoli z kiełbasą. I nagle zdała sobie sprawę, ile się w niej zmieniło. Mimo że byli na dzikim odludziu, mimo ciemności i głuchej ciszy - nie odczuwała strachu. Właściwie przez cały dzień czuła się z Vittorioem tak bezpiecznie, jakby była w centrum cywilizowanego miasta.

Natychmiast odsunęła od siebie tę myśl. Takie życzliwe myśli mogły tylko osłabić jej determinację. A ona musiała wzbudzić w sobie choć odrobinę starej niechęci do tego człowieka - jeżeli chciała osiągnąć swój cel i nie dać mu się sterroryzować.

Chwilę później usłyszała jego kroki. Kiedy stanął tuż nad nią, mimo silnego postanowienia, nie zdołała powstrzymać łomotu serca.

- Kolacja prawie gotowa?

- Jeszcze kilka minut. - Potrząsnęła patelnią, nie odważywszy się podnieść głowy. - Kielbaski muszą się dobrze zagrzać.

- Pachnie nieźle. - Kucnął przy niej, pociągając nosem. - Fasola z kiełbasą. Właśnie to mi się marzyło.

Kate wyczuwała jego niepewność, jakby wciąż się wahał, jak ją traktować, i skłaniał się ku zachowaniu mdłej uprzejmości. Ale podczas gdy on zdawał się panować nad emocjami, Kate była bliska rozstroju nerwowego. Tak naprawdę, miała ochotę dać upust swojej złości i wygarnąć mu prosto w twarz, co o nim myśli. Na nic by się to

jednak nie zdało, a tylko mogło jej zaszkodzić. Wystarczyłaby jedna iskra, żeby wzniecić pożar, nad którym nie byłaby w stanie zapanować.

- Myślę, że są już dobre. - Z twarzą bez wyrazu sięgnęła po turystyczne talerze i wyłożyła na nie kiełbaski z fasolą. - Uważaj - ostrzegła. - Bardzo gorące.

- Dziękuję, *querida*. - Wziął talerz i usiadł obok, opierając się plecami o pień drzewa.

Kate spojrzała na swoją niewielką porcję i chociaż na początku była głodna, rosnący w niej niepokój - którego, co gorsza, nie potrafiła nawet dokładnie nazwać - odebrał jej apetyt. To fatalnie, pomyślała, że nie potrafi zachowywać się tak jak on i udawać, że miniona noc nigdy się nie zdarzyła.

- Co się dzieje? - spytał, zerkając na nią znad talerza. - Dlaczego nie jesz?

- Zaraz będę jadła - odpowiedziała z kontrolowaną wrogością. - Czekam, aż przestygnie.

- Ale nie masz prawie nic na talerzu. Wróbel by się tym nie najadł.

- Mnie to wystarczy. Nie jestem bardzo głodna.

- To samo powiedziałaś przy śniadaniu. Kurczaka też ledwie skubnęłaś. Źle się czujesz, *querida*?

Co to jest? Hiszpańska inkwizycja? Tym razem odburknęła z mniej kontrolowaną wrogością.



- Jeśli pozwolisz, będę jadła dokładnie tyle, na ile mam ochotę.  
Mój apetyt jest moją sprawą i nic ci do tego!

Vittorio przestał jeść i patrzył na nią przez moment ze  
ściągniętymi brwiami.

- Obawiam się, że jednak coś ci jest. Taki wybuch złości bez  
powodu... Musisz mieć lekko nadszarpnięte nerwy.

W jego głosie było coś drażniącego. Zmierzyła go lodowatym  
wzrokiem. Jak śmiał bawić się jej kosztem i prowokować ją?

- Zapewniam cię, że nic mi nie jest. Jedz kolację i pilnuj  
własnego nosa!

Uśmiechnął się, uniósł brew i teraz nie miała już cienia  
wątliwości, że sobie z niej drwi.

- Powiedz mi, o co chodzi. Przekonasz się, że potrafię słuchać.  
Wiele kobiet traktuje mnie jak prywatnego spowiednika.

Niech go szlag! Teraz ją po prostu obraził. Zaliczając do  
kategorii „wielu kobiet”, subtelnie, ale dostatecznie wyraźnie  
przydzielił ją do swojej damskiej armii! A to już było niewybaczalne.  
Najpierw ją zwiódł, a teraz obrażał, igrając z jej uczuciami.

- Mam dosyć tej głupiej rozmowy! - Wściekłym gestem odłożyła  
talerz i już miała się zerwać na nogi, kiedy przysunął się do niej  
błyskawicznie i zacisnął palce na jej nadgarstku.

- Dokąd się wybierasz? Nie skończyłem z tobą rozmawiać.

Jednym ruchem odstawił na bok talerz i wolną ręką chwycił jej  
drugi nadgarstek.

- Nie sądzisz, że to niegrzeczne odchodzić tak w środku rozmowy?

- Nie prowadziliśmy żadnej rozmowy! Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia!

- Chyba nie, *querida*. Miałaś mi powiedzieć, co ci jest. Dlaczego jesteś zdenerwowana.

- Nic mi nie jest! Ile razy mam ci to powtarzać?

- Ile tylko zechcesz. A ja i tak w to nie uwierzę. - Przyciągnął ją do siebie tak raptownie, że prawie na niego upadła. Czarne oczy świdrowały ją bezlitośnie.

- Skoro jesteś taka małomówna, może odpowiem za ciebie. Widzisz, tak się składa, że doskonale wiem, co jest powodem twojego złego nastroju. - Kiedy zamilkł na kilka sekund, musiał dostrzec panikę w jej oczach. - Powiedzcie ci, *querida*? Chcesz usłyszeć ode mnie, co cię tak niepokoi od rana?

- Zostaw mnie w spokoju - odparła przez zaciśnięte usta.

- Nie, dopóki nie wyjaśnimy sobie tej tajemnicy. Obojgu dobrze nam to zrobi, tym bardziej że mamy przed sobą wspólną podróż.

- Zostaw mnie! - Czują, że za chwilę wybuchnie płaczem. Była całkowicie zdana na jego łaskę, a on nie miał litości. - Powtarzam, że nic mi nie jest. Dlaczego mi nie wierzysz?

- Nie kłam - uśmiechnął się posepnie. - Dlaczego z takim uporem uciekasz przed prawdą, kiedy lekarstwo na twoje smutki może być w zasięgu ręki.

Puścił jej nadgarstek i położył rękę na jej szyi. Potem wsunął palce we włosy, przyciągnął ją bliżej i pocałował w usta.

Tego już było za wiele. Kate wyszarpnęła drugą rękę i rzuciła się na niego jak dziki kot. Zaciśniętymi pięściami okładała jego tors, ciągnęła za włosy, wpijała paznokcie w twarde mięśnie jego ramion.

- Ty draniu! Nienawidzę cię! - wrzeszczała, trzęsąc się jak w febrze i czując wzbierające pod powiekami łzy bezsilnej furii. - Nie znoszę cię! Nienawidzę! Jak śmiesz mnie tak traktować! - Rozpaczliwe łkanie wstrząsnęło jej ciałem. Chciała rozderzeć go na strzępy gołymi rękami.

Ale nie miała dość siły. Ręce zawisły jej w powietrzu, kiedy Vittorio unieruchomił je żelaznym uchwytem i przygwoździł ją do ziemi.

- Co za temperament, *querida*. - Jego oczy płonęły dziwnym blaskiem. - Ale ty nie pragniesz walki.... Pragniesz tego...

Gwałtowny dreszcz przeszył jej rozpalone, napięte jak struna ciało, kiedy pochylił się nad nią i zamknął jej usta brutalnym pocałunkiem.

- Tego chciałaś? - szepnął, błędząc językiem po jej drżących wargach. - Przyznaj się, *querida*. Marzyłaś o tym.

Tak, chciała tego. Marzyła o jego pocałunkach, o tym, żeby ją kochał. Ale nie o brutalnej napaści, którą próbował ją upokorzyć. Kiedy rozpiął jej bluzkę i zsunął ramiączka stanika, poczuła na policzku łzę.

- Proszę cię, Vittorio. Nie traktuj mnie w ten sposób.

Szepnęła zbyt cicho, żeby mógł ją usłyszeć, ale kiedy nabrała powietrza, żeby zaprotestować z większym przekonaniem, nagle poczuła, że coś go odmieniło.

- Jesteś taka piękna, *querida*, taka piękna... - W jego głosie nie było cienia złości. Patrzył z czułością na jej odsłonięte piersi, a potem musnął palcami różowe, stwardniałe sutki. Kiedy wydała z siebie spazm rozkoszy, uśmiechnął się i delikatnymi pocałunkami okrył jej twarz. - Chcę, żeby ci było dobrze, kochanie. Chcę, żebyś mnie pragnęła. Żebyś szalała za mną, tak jak ja szaleję za tobą.

Wyprężyła się i cichym jękiem zadowolenia przywitała wilgotne, zachłanne wargi posuwające się od ramion do piersi. Jego palce walczyły przez chwilę z suwakiem jej spodni i nagle poczuła ich ciepły dotyk na brzuchu. Krew napłynęła jej do twarzy, usłyszała łomot własnego serca.

- Vittorio... Vittorio... - szeptała jego imię jak słowa zaklęcia.

- *Mi dulce*, Katharine. Moja słodka... - Uniósł twarz i spojrzał jej głęboko w oczy. - Chcę się z tobą kochać... Chcę, żebyś była moja... Ty też tego pragniesz, czuję to.

W krótkim przeblysku świadomości zawahała się i odsunęła jego rękę. Pragnęła go całym swoim ciałem, sercem i duszą. I na tym polegała różnica między nimi. On pragnął jej tylko ciałem.

- Nie, Vittorio.

Należał do Carmen. Kate kochała go, ale nigdy nie oddałaby się mężczyźnie, który należał do innej kobiety.

Miał na tyle litości, żeby się nie upierać. Delikatnie zapiął jej spodnie i pocałował Kate w usta.

- Masz rację. Nie skończyliśmy kolacji - zartował z uśmiechem. - Nie wolno się kochać na pusty żołądek.

Odwzajemniła uśmiech, ale kiedy Vittorio odszedł dyskretnie na bok i zaczęła zapinać guziki bluzki, łzy napłynęły jej do oczu. Co za głupota zakochać się w mężczyźnie, dla którego nigdy nie będzie niczym więcej niż przelotną rozrywką. Sekretnym grzeszkiem, o którym można łatwo zapomnieć.

Poczuła przerażającą pustkę w sercu i przeklęła okrutne zrządzenie losu, które ich ze sobą zetknęło.

## *ROZDZIAŁ SIÓDMY*

Kate poczuła niewysłowioną ulgę, kiedy dotarli wreszcie na miejsce. Po dwóch dniach spędzonych w przymusowym towarzystwie Vittoria była wykończona nerwowo.

Nie powtórzyły się wybuchy namiętności, nawet nie próbował jej uwodzić, ale swoimi humorami, ciągłymi zmianami nastroju dał jej się solidnie we znaki. Był jak chorągiewka na dachu. Raz ciepły i wesoły, po chwili jak burza gradowa. Cierpiała, kiedy zachowywał się wobec niej lodowato, domyślając się, że robi to z wyrachowaniem. Celowo budował między nimi mur obojętności.

Ale czasami przepaść znikła i potrafili godzinami rozmawiać, śmiać się, zartować, jak czuli kochankowie, którymi prawie zostali. A

potem nagle spotykały się ich oczy i duch Carmen, zawsze obecny, choć nigdy nie wspomniany, wyrastał między nimi, niweczając sielski nastrój. Odwracali wzrok, on w poczuciu winy, ona - z żalu, i przepaść ponownie się otwierała.

Tak więc trzeciego dnia podróży, kiedy nissan wjechał do obozu w Cabayan, Kate podziękowała w milczeniu opatrności za to, że jej męka dobiegła końca. Miała nadzieję, że wśród innych ludzi, zajęta innymi sprawami, być może przestanie myśleć o swoim zranionym sercu.

Cabayan w niczym nie przypominało Bagu Bayo. Na pierwszy rzut oka nie zauważyła śladów typowej osady, jedynie kilka wielkich namiotów, rozstawionych na polanie otoczonej dżunglą, i terenowe samochody na krańcu obozowiska.

- To jest obóz ekspedycji profesora Flynna - wyjaśnił Vittorio, zatrzymując się przed jednym z namiotów. Wyciągnął rękę w kierunku grupy drzew graniczących z polaną. - Wioska tubylców jest tam.

Zmrużyła oczy, spoglądając we wskazaną stronę. Zauważyła tylko kilka chat zbudowanych z bambusa i liści bananowca.

- Wygląda to dosyć prymitywnie.

- Owszem.

Profesor Flynn okazał się typowym roztargnionym naukowcem. Niski, żyłasty Australijczyk z bujną rudą brodą, w wymiętym stroju safari, sprawiał nieco komiczne wrażenie, jakby nieustannie myślał

błądził w chmurach. Ale iskrzące, przenikliwe niebieskie oczy nie budziły wątpliwości co do jego wybitnej inteligencji.

- Mój przyjacielu! Co za niespodzianka! - przywitał Vittoria z rozpromienioną twarzą. - Nie mogłeś przyjechać w bardziej odpowiednim momencie! Czekałem na ciebie!

- Przeczynałem, że to usłyszę. - Vittorio uściśnął starszemu mężczyźnie rękę i odwrócił się z uśmiechem do Kate. - Poznaj Kate O'Shaughnessy. Jest reporterką londyńskiego magazynu „Deadline”.

Kate rzuciła mu zdumione spojrzenie i przywitała się uprzejmie z australijskim profesorem. Przedstawiając ją jako dziennikarkę, Vittorio praktycznie zaaprobował cel jej wizyty.

- Reporterka, powiadasz? - spytał Australijczyk z niekłamany zainteresowaniem. - Podejrzewam, że nie będzie pani tu narzekała na brak tematów. Muszę przyznać... - zwrócił się do Vittoria - że miałeś całkowitą rację. Teraz żałuję, że nie potraktowałem poważniej twoich przestróg.

Na to, żeby się dowiedzieć, co miał na myśli, Kate musiała trochę poczekać. Kiedy usiedli na prowizorycznych ławkach - które były jedynymi miejscami do siedzenia w małym profesorskim „gabinie” - pojawił się młody człowiek o imieniu Giles i został jej przedstawiony jako asystent Flynna.

- Moja prawa ręka - oznajmił życzliwie profesor, kiedy Giles zajął się pospiesznie parzeniem kawy. - Wkrótce się pani przekona, że delikatnie mówiąc, nie mam talentu do spraw organizacyjnych, a Giles doskonale nad wszystkim panuje.

Jasnowłosy młodzieniec uśmiechnął się skromnie i podawszy wszystkim filiżanki, usiadł na jednej z ławek.

- Ja wziąłem na siebie nudne, rutynowe sprawy, po prostu żeby usprawiedliwić swój udział w ekspedycji. To profesor jest ekspertem i o wszystkim decyduje.

- Może ekspertem w dziedzinie antropologii... - Flynn pokręcił głową, wpatrując się w swoją kawę. - Ale kiepskim znawcą ludzkiej natury. - Podniósł oczy i spojrzał na Vittoria. - Tak jak już mówiłem, powinienem cię posłuchać. Przekłęta chwila, w której zadałem się z takim człowiekiem.

- O co chodzi, profesorze? - Vittorio zapytał spokojnym tonem. - Kłopoty z Ramosem?

- Właściwie nie z Ramosem, ale z jednym z jego ludzi. Jednak nie mam wątpliwości, że stoi za tym Ramos. A problem w tym, że nie radzę sobie z takimi sprawami. Nie wiem, co z tym robić.

- Proszę mi najpierw opowiedzieć, co tu się dzieje. Mam spore doświadczenie w radzeniu sobie z Ramosem.

- Ale to dosyć szokujące. Prawdę mówiąc, nie mogę w to uwierzyć. - Pokręcił znowu głową i zaczął skubać brodę. - Ludzie Ramosa mieli nam pomagać, ale odkryłem niedawno, że oni fałszują dowody!

- A ja uwierzę we wszystko, jeśli stoi za tym nasz stary przyjaciel Ramos. - Vittorio zaniósł się głośnym śmiechem, a potem nagle sposepniał. - Fałszują dowody? W jaki sposób?



- To Giles pierwszy nabrał podejrzeń. - Flynn westchnął. - Był pewien, że Eddie, najbardziej zaufany człowiek Ramosa - który jest również naszym tłumaczem - ma jakieś dziwne konszachty z Taku, jednym z wodzów plemienia. Nie wiemy, czy doszło już do transakcji pieniężnej, ale mamy powody wierzyć, że jakieś pieniądze zostały obiecane - za współpracę członków plemienia w preparowaniu najróżniejszych, całkowicie zaprzeczających prawdzie naukowej detali.

Flynn znowu westchnął, wyraźnie przytłoczony tym, co musiał z siebie wydusić.

- Jak wiesz, to plemię żyło od wieków w izolacji, ale chociaż z pewnością są cywilizacyjnie zacofani, to jednak rozwijali się na swój sposób. I w niczym nie przypominają ludzi z epoki żelaza, jakimi chcą ich przedstawić Ramos i jego kompani. Wyobrażasz sobie, że odkryliśmy ostatnio kilka narzędzi z epoki żelaza - prymitywną broń i naczynia do gotowania - które, jestem o tym przekonany w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, zostały tam świeżo zakopane. Podejrzewamy nawet, że Eddie i jego ludzie uczą starszyznę plemienia różnych barwnych obrządków i rytuałów - tańca deszczu i temu podobnych nonsensownych rzeczy - które, przysięgłbym, nigdy nie były elementami ich kultury. Jak oni mogą tak postępować? - zapytał zboliałym głosem. - Robią sobie kpiny z moich żmudnych badań.

Kate słuchała opowieści profesora z rosnącym przerażeniem i wstydem z powodu własnej głupoty i naiwności.

Rzuciła Vittoriowi udręczone spojrzenie. Jak mogła uwierzyć w kłamstwa Ramosa?

Odniosła wrażenie, że zrozumiał i rozgrzeszył ją. Pociągnął łyk kawy i łagodnym tonem zwrócił się do Flynna.

- Wytłumaczę, o co w tym wszystkim chodzi. Ramos ubarwia fakty, żeby je potem lepiej sprzedać. Mówiłem wielokrotnie, że nie interesują go ani trochę poważne naukowe badania. On chce mieć towar, na którym zarobi pieniądze. A jeżeli taki towar nie istnieje, gotów jest go wymyślić. Tego faceta guzik obchodzi prawda!

- A przecież ostrzegałeś mnie... Ale on wydawał się taki przekonujący. Uwierzyłem w jego poważne zamiary. - Profesor spojrział na Kate. - Poznała pani tego człowieka?

- Tak. Ma pan rację, on jest bardzo przekonującym oszustem. Ale proszę się nie martwić, jestem pewna, że *señor* de Esquerez pomoże rozwiązać ten kłopot.

- Naprawdę, Vittorio, mogę na to liczyć? - spytał Flynn z nadzieją w głosie.

- Z największą przyjemnością, profesorze. Proszę się nie martwić, zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Będę ci niezwykle zobowiązany... - westchnął Flynn z wyrazem niewysłowionej ulgi. - Ale muszę cię ostrzec. Słyszeliśmy już pewne groźby. Dano nam do zrozumienia, że mądrzej byłoby im nie przeszkadzać...

- Tak? - Vittorio uśmiechnął się, jakby ta pikantna informacja wzmocniła w nim jeszcze entuzjizm do działania. - W takim razie

będę musiał być bardzo przezorny. Ale nie tak przezorny jak Ramos. On i jego banda powinni się pomodlić, zanim wykonają kolejny ruch.

Wszystko było jasne. Kate zrozumiała, dlaczego Ramos tak bardzo się wzbraniał przed wynajęciem jej przewodników. Plemię Cabayanów, wobec którego miał określone plany, nie było jeszcze przygotowane do publicznego pokazu. Potrzebowali trochę czasu na próby, żeby wypaść jak najbardziej wiarygodnie w roli ludzi z epoki żelaza!

W nocy, leżąc już w śpiworze, w udostępnionym jej na nocleg „gabiniecie” profesora, zastanawiała się nad swoją łatwowiernością. Mimo że odkryła wcześniej prawdę o Vittoriu, do głowy jej nie przyszło, że Ramos może być bezwzględny oszustem.

A przecież gdyby sprawy potoczyły się inaczej, sama mogłaby uwierzyć w tę historię o ludziach z epoki żelaza. Tym bardziej że Ramos miałby „dowody”, a z dwóch osób, które podważałyby autentyczność odkrycia - Vittoria i szacownego, ale niezbyt mocno stąpającego po ziemi profesora - jeden miał opinię bezwzględnego wyzyskiwacza, prowadzącego własne ciemne interesy, a drugi zdecydowanie nie nadawał się do publicznej walki o prawdę.

Prawdopodobnie wzięłaby argumenty Ramosa za dobrą monetę - tak jak każdy inny dziennikarz na jej miejscu. I wysmażyłaby artykuł, który byłby niczym więcej, tylko stekiem kłamstw.

Więc chcąc nie chcąc, do wszystkich uczuć, które żywiła do Vittoria, musiała teraz dołożyć dług wdzięczności. Choć nie było to oczywiście jego intencją, ocalił jej zawodowy honor!

Przewróciła się na bok i otuliła szczelniej śpiworem. Vittorio, Vittorio... Na myśl o nim krwawiło jej serce. Wdarł się do jej życia z siłą meteorytu, budząc w niej uczucia, jakich nigdy przedtem nie doznała. Ale los zawyrokował, że on musi ją opuścić, zostawiając samą z jej niespełnioną miłością, na zawsze odmienioną.

Zamknęła oczy i wtuliła się we własne ramiona, usiłując powstrzymać rozpacz. Ale wiedziała, że nie da się tego zrobić. Nie panowała nad nią. Nie wierzyła, że kiedykolwiek opuści jej serce.

Gdyby tak mogła cofnąć czas i nigdy go nie spotkać.

Gdyby tak nie istniała Carmen.

Przynajmniej jedna dobra rzecz wyniknęła z tego całego chaosu. Kate mogła zabrać się do pracy. Co prawda, Vittorio nie udzielił jej wyraźnej zgody na zbieranie materiałów, ale też nie próbował jej w tym przeszkadzać. Przez następne dwa dni prawie go nie widywała i ani przez chwilę nie była z nim sam na sam.

Tak więc, korzystając z pomocy czynnego Gilesa, który służył jej za przewodnika i anioła stróża, poznawała wioskę i jej mieszkańców. A im więcej się dowiadywała o plemieniu Cabayanów, z tym większym podnieceniem myślała o swoim reportażu.

- Jak by pan najchętniej widział przyszłość tych ludzi? - spytała profesora Flynna, kiedy zdołał wreszcie znaleźć dla niej trochę czasu.

- Ma pan wobec nich jakieś konkretne plany?

- Należy działać bardzo ostrożnie. Oni byli odizolowani od świata tak długo, że jakiegokolwiek nie przemyślane ingerencje w sposób ich życia mogłyby im wyrządzić ogromną krzywdę. Dlatego wolałbym - uśmiechnął się - żeby na ten szczególny temat wypowiedział się *señor* de Esquerez. Nie jest antropologiem, ale ma większe doświadczenie ode mnie. Przypuszczam, że wie pani, iż jego przedsiębiorstwo zaangażowało się już w kilka innych podobnych projektów.

- Tak, widziałam nawet efekty jednego z nich w Bagu Bayo. Byłam naprawdę pod wrażeniem.

- Tak... Vittorio robi wspaniałe rzeczy, choć, oczywiście, niewielu ludzi o tym wie. Od tamtej nieszczęsnej historii z centrum młodzieżowym w Manili stara się nie afiszować.

- Słyszałam o tym... Ale co dokładnie się wydarzyło?

- Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani tego za złe... Ale jest faktem, niestety, że to kilku nieuczciwych przedstawicieli pani profesji zrobiło z całej tej sprawy cyrk tylko dlatego, że był w nią zaangażowany wielki

Esquerez. *Señor* de Esquerez był tym tak oburzony, że rozgłosił wiadomość, jakoby zamierzał wycofać się z projektu. Uznał, że to jedyny sposób na to, żeby wyciszyć hałas i nie wyrządzać dalej krzywdy ludziom, którym starał się pomóc.

- Więc to była tylko plotka? Nie wycofał się z tego projektu?

- Skądże. Dalej się nim zajmował, ale w sekrecie. Oczywiście, natychmiast zaatakowały go media, zarzucając mu niedotrzymanie obietnic, a przede wszystkim to, że śmie owe media otwarcie krytykować. Strategia Vittoria okazała się słuszna, bo projekt został zrealizowany, co jednak w niczym nie poprawiło jego stosunków z prasą. Niektórzy wpływowi dziennikarze zaprzysięgli mu zemstę, nie wybaczywszy nigdy tego, co o nich publicznie powiedział.

Flynn przerwał na chwilę i uśmiechnął się do Kate z wyrazem uznania w oczach.

- Jest pani pierwszą dziennikarką, z którą zechciał mieć do czynienia od tamtej pory. Ma pani wielkie szczęście. Musi pani ufać.

Uśmiechnęła się niepewnie. Jeżeli tak jest, to niczym na to zaufanie nie zasłużyła. Potępiała go od początku, opierając się wyłącznie na plotkach. Nawet przez moment nie przyszło jej do głowy, że dziennikarze z Hongkongu, którzy opowiadali o nim te wszystkie bzdury, mogli kłamać. A teraz czuła tylko wstyd.

- To wyjątkowy człowiek - ciągnął profesor. - Popełniłem wielki błąd, odrzucając jego propozycję... - Kiedy dostrzegł zdziwienie w jej oczach, pokiwał smętnie głową. - Niestety. Miałem dwie oferty sfinansowania ekspedycji. Jedną od Ramosa, a drugą od Esquereza - znacznie hojniejszą - ale wybrałem Ramosa, bo on zadawał mniej pytań. Esquerez poddał mnie prawdziwemu przesłuchaniu. Wymagał dokładnego planu, chciał znać każdy szczegół organizacyjny... Zirykowało mnie to, przyznaję, i dopiero później zdałem sobie sprawę,

że miał do tego prawo i że jedynym powodem jego dociekliwości była troska o tych ludzi.

Jego niebieskie oczy wyrażały bezgraniczną wdzięczność, kiedy dodał wzruszonym głosem:

- Teraz rozumiem to jeszcze lepiej. Przejechał taki kawał drogi, żeby wyciągnąć mnie z tarapatów. A przecież ostrzegał mnie.

Miałbym kłopoty z Ramosem, ale nie winiłbym Vittoria, gdyby umył ręce i odciął się od całej sprawy.

- Vittorio nie jest typem, który umywa ręce - gorliwie zapewniła go Kate.

Jest taki jak ja, dodała w myślach. Zawsze się angażuje. Szkoda, że ta prawda była tak bolesna. To okrutna ironia losu mieć tyle wspólnego z mężczyzną, o którego istnieniu będzie musiała wkrótce zapomnieć. Raz na zawsze.

Po obiedzie, który zjadła w towarzystwie Gilesa i profesora, Kate zaczęła porządkować swoje notatki. Była niemal gotowa złożyć je w jedną całość, ale Flynn miał rację. Powinna jeszcze porozmawiać z Vittoriem.

Istniała oczywiście możliwość, że kategorycznie odmówi współpracy. Wtedy będzie musiała znaleźć sposób, żeby go przekonać. Zamknęła oczy, powstrzymując gorzki śmiech. Jak rozsądnie potrafiła hamować własne ambicje! Teraz już ledwie śmiała mieć nadzieję, że zgodzi się udzielić jej wywiadu. A jeszcze kilka dni temu marzyła, że ją pokocha. Przez krótką chwilę, pod

rozwieżdzonym filipińskim niebem, widziała w jego oczach swoją przyszłość.

Dosyć tych wspominków, powiedziała sobie w przyptywie złości. Od początku wiedziałaś o Carmen. Było czystym szaleństwem spodziewać się czegoś więcej.

Miała się właśnie rozebrać, kiedy usłyszała zbliżające się kroki. Wstrzymała oddech. Jeżeli to Giles przyszedł zaproponować jej ostatnią kawę, tak jak poprzedniego wieczoru, będzie udawała, że śpi. Ale głos, który usłyszała, nie był głosem Gilesa.

- *Señorita*, nie śpisz?

Wstrzymała oddech i przeklęła pod nosem, żalując, że nie zgasła wcześniej lampki.

- Chwileczkę. - Podeszła do klapy namiotu i drżącą ręką odsunęła suwak. Co on tu robi o tej porze? Ciekawe, jakie subtelne tortury przyjdzie jej znieść tym razem.

- Przepraszam, jeśli ci przeszkadzam... - Vittorio pochylił się, opierając rękę na stelażu namiotu. - Ale nie miałem szansy porozmawiać z tobą wcześniej.

- Proszę, wejdź. Nie spałam.

- Przyszedłem ci tylko powiedzieć, że jutro wyjeżdżamy.

Wracamy do Manili.

- Rozumiem. - Zawahała się, trochę zaskoczona. - Tak szybko?

- Chyba nie chcesz tu zostać? - Uśmiechnął się. - Nie mów mi, że zapalałaś gwałtowną sympatią do tego miejsca.



- Nie - odpowiedziała, chociaż było w tym sporo prawdy. Sama nie wiedziała, jak to się stało, ale rzeczywiście coraz bardziej lubiła to miejsce. Cabayan, Bagu Bayo, w ogóle Filipiny. Może zabrzmiałoby to głupio, ale wiedziała, że będzie za nimi tęsknić.

Poza tym nie opuszczała jej ani na moment świadomość, że im szybciej wrócą do Manili, tym wcześniej rozstanie się z Vittoriem. Na zawsze.

- Myślałam po prostu, że będziesz musiał zostać tu dłużej - powiedziała najspokojniejszym głosem, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Nie muszę. Załatwiłem już wszystko, co miałem do załatwienia.

- Masz na myśli porachunki z Ramosem? Rozwiązałeś to jakoś?

- Tak jak obiecałem. To były pracowite dni. Eddie oczywiście okazał się bardzo pomocny. Przyznał się do wszystkiego. Ale po tym, jak pogrzebałem w jego rzeczach i znalazłem bardzo kompromitujące papiery i drobiazgi, które dostał od Ramosa, naprawdę nie miał innego wyjścia.

Vittorio uśmiechnął się, zadowolony, wywołując jeszcze radośniejszy uśmiech na twarzy Kate.

- Podejrzewam, że Ramos też nie będzie się specjalnie opierał. Kiedy wytłumaczę mu szczegółowo, jakie mam wobec niego plany - areszt, odsiadka, pozbawienie raz na zawsze źródeł złodziejskich interesów - powinien pęknąć jak bańka mydlana.

- Wierzę ci. - Kate roześmiała się głośno. - Sądząc po waszej ostatniej rozmowie, której byłam świadkiem, nie przypuszczam, żeby Ramos garnął się do walki.

- Dzięki za dobre słowo. Ale teraz powiedz, co u ciebie. Zdobyłaś to, po co przyjechałaś?

- Masz na myśli reportaż? Tak, zebrałam wystarczająco dużo informacji. Brakuje mi tylko jednej rzeczy...

- Mianowicie?

- Chciałam... Bardzo mi na tym zależy, żebyś zgodził się odpowiedzieć na kilka pytań.

- To znaczy, że chcesz przeprowadzić ze mną wywiad?

- No właśnie. To pomysł profesora Flynna... Myślę, że bardzo dobry.

Patrzył na nią przez moment w milczeniu, potem powiedział bardzo wolno, ważąc każde słowo.

- Z przyjemnością ci pomogę... Ale muszę być pewien, jakiego rodzaju artykuł planujesz.

- Och, możesz być zupełnie spokojny! To będzie poważny, rzeczowy reportaż, bez żadnych niezdrowych sensacji.

- Jesteś tego pewna?

- Absolutnie. Masz na to moje słowo. Mówiłam ci, że „Deadline” nie jest brukowcem.

- Tak, owszem. - Uśmiechał się, ale w jego spojrzeniu było coś niepokojącego. Wyjął ręce z kieszeni i westchnął z rezygnacją. - W takim razie będziesz miała ten wywiad.

- Dziękuję... - Tylko tyle była w stanie wydusić z zaciśniętego gardła.

- Nie dziękuj. Po prostu zrób z tego cholernie dobry artykuł. Przynajmniej to jesteś sobie winna za tyle trudu, ile włożyłaś w to, żeby się tu dostać.

Milczał przez chwilę, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Nagle zmrużył oczy i położył rękę na jej policzku. Kate oddychała nierówno, słysząc bicie własnego serca.

- Kiedy wrócimy do Manili, zamierzasz natychmiast lecieć do Londynu?

- Nie wiem... Dlaczego pytasz?

- Więc jest szansa, że zostaniesz na kilka dni? Może nawet dłużej?

- Może na kilka dni... - odpowiedziała niepewnie. O co mu chodzi? Do czego on zmierza?

- Kilka dni wystarczy. - Uśmiechnął się. Szatańskim uśmiechem, który wprowadził ją w nerwowy dygot.

- Na co wystarczy?

- Na to, żebyśmy mogli być razem.

Znowu ten uśmiech. Łomot serca odbijał się w jej skroniach.

- Cokolwiek postanowisz, musisz mi obiecać, *querida*, że nie wrócisz do Londynu, nie uprzedzając mnie o tym. - Przyciągnął ją bliżej i mocno objął.

Przez moment patrzyła na niego błędnym wzrokiem, a potem skinęła głową. Obiecałaby mu wszystko, o co by tylko poprosił.

- Spróbuj zrozumieć. Teraz nie jest na to odpowiednia pora.  
Poczekajmy, aż wrócimy do Manili.

Gładził jej włosy, szeptał coś, ale jego głos był tak cichy, jakby mówił do siebie. Zamknęła oczy i nagle poczuła na ustach ciepłe, kuszące wargi. Przyłgnęła do niego bezwiednie, drżąc z rozkoszy, jakiej nie spodziewała się już zaznać.

- Dobranoc, *querida*. - Odsunął ją delikatnie i musnąwszy jej włosy delikatnym pocałunkiem, wyszedł z namiotu.

Rano okazało się, że z obozu zniknął Eddie i jego samochód.

- To bez znaczenia. - Vittorio wzruszył ramionami, pakując ich rzeczy do nissana. Podniósł torbę, w której były wszystkie zebrane przez niego dowody - różne papiery, faksy, fałszywe znaleziska z epoki żelaza - i postawił ją ostrożnie za zwiniętym namiotem. - Prawdopodobnie chce dotrzeć przed nami do Manili, żeby ostrzec przedemną Ramosa.

Kate dowiedziała się, że w podróży będzie im towarzyszył Giles - profesor zlecił mu załatwienie jakichś spraw w Manili - i przyjęła tę wiadomość z niekłamaną ulgą. Po krótkim miłosnym uniesieniu, na które pozwoliła sobie minionej nocy, wrócił jej bowiem rozsądek.

Wystarczyła chwila zimnej refleksji, żeby zrozumieć, co kryło się za tajemniczymi słowami Vittoria. Powiedział, że chce spędzić z nią trochę czasu w Manili, a odgadnięcie, co miał na myśli, nie wymagało inteligencji Einsteina. Proponował krótki romans przed jej powrotem do Londynu.

W pierwszej chwili, gdy zdała sobie z tego jasno sprawę, ogarnęła ją złość. Poczuła się dotknięta i upokorzona. A jednak... To było jedyne, co mógł jej dać. Nie mógł zaofiarować więcej, bo nie był wolny. Więc może kilka dni miłości byłoby lepsze niż nic...?

Przynajmniej miałabym co wspominać, myślała z goryczą, powstrzymując łzy. Nigdy nie będę pragnęła innego mężczyzny tak, jak pragnę Vittoria. Nikogo innego tak nie pokocham.

Wiedziała, że musi podjąć decyzję, zanim dotrą do Manili - dlatego z taką ulgą przyjęła wiadomość, że Giles będzie im towarzyszył w długiej powrotnej podróży. Będzie miała szansę wszystko przemyśleć i - przede wszystkim - nie będzie narażona na prowokacje Vittoria.

Kiedy, pożegnawszy się z profesorem Flynnem, chciała usiąść na tylnym siedzeniu, zostawiając miejsce przy kierowcy Gilesowi, Vittorio gwałtownie zaprotestował.

- Nie, *querida*, ty siadasz z przodu. I wyjmij z torby notes. Możesz przeprowadzić ze mną ten wywiad po drodze. Przynajmniej czas nie będzie nam się dłużył.

Zgodziła się z ochotą. Gdyby miała już gotowy wywiad, zostałyby jej tylko napisanie artykułu. Poza tym jeśli zdecydowałyby się odrzucić propozycję Vittoria, nie musiałyby się z nim więcej spotykać i odleciałyby pierwszym samolotem do Londynu.

Dotarli do Manili rano, po trzech dniach całkiem przyjemnej, bezkonfliktowej podróży. Vittorio zdecydował, że najpierw podrzuci

Gilesa do hotelu „Manila”, a potem zawiezie Kate do jej hotelu. Co dawało jej mniej więcej piętnaście minut na podjęcie decyzji.

Ogarnęła ją panika, bo nie była ani trochę bliższa zapanowania nad chaosem w swojej głowie, niż kiedy opuszczali Cabayan.

Zatrzymawszy się przed hotelem „Manila”, Vittorio wysiadł z samochodu, żeby pomóc Gilesowi wyjąć z bagażnika jego torbę. Obaj mężczyźni byli tak zajęci przerzucaniem bagaży z jednej strony na drugą, że żaden z nich nie zauważył szczupłej, pięknej kobiety, która wyłoniła się z głównego wejścia hotelu i zmierzała wprost ku nim.

Kate dostrzegła ją natychmiast i poczuła, że serce zamiera jej w piersi.

Z wszystkich ludzi na świecie wpaść akurat na nią! Narzeczoną mężczyzny, z którym właśnie w tej chwili planowała romans!

Chwilę później Carmen zawołała Vittoria po imieniu. Odwrócił się z uśmiechem i podszedł do niej szybkim krokiem. Kate patrzyła, jak rzucają się sobie w ramiona i całują - wysoki silny mężczyzna w dżinsach i T-shircie i szczupła, elegancka kobieta. Oboje byli tacy piękni, choć tak różni. Tworzyliby naprawdę olśniewającą parę...

Ta myśl przeszła Kate tępym bólem. Odwróciła wzrok w drugą stronę. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić. „Błagam, spraw, żeby Vittorio nie chciał mnie jej przedstawić!”

Nie musiał. Po minucie Carmen podeszła do nissana i gestem poprosiła Kate o opuszczenie szyby. Nieprawdopodobne, ale z bliska była jeszcze piękniejsza.

- Cześć, jestem Carmen - powiedziała z uśmiechem, wyciągając na powitanie doskonale wypielegnowaną dłoń. - Chciałabym cię

zaprosić na kolację. Giles już się zgodził, więc nie możesz odmówić. Rozerwiemy się gdzieś we czwórkę, będzie wesoło, zobaczysz. Myślę, że szczęśliwy koniec waszej wyprawy wymaga uczczenia.

Zanim zdążyła znaleźć uprzejmą wymówkę, do samochodu podszedł Vittorio i Carmen oznajmiła: „Kate się zgadza. Zarezerwuję stolik”.

- Do zobaczenia wieczorem! - Pomachała jej na pożegnanie. -  
Opowiesz mi o Cabayanach!

Jechali przez Roxas Boulevard w całkowitym milczeniu.

- Przyjadę po ciebie o ósmej. - To były jedyne słowa wypowiedziane przez Vittoria, kiedy zatrzymali się przed jej hotelem.

Potem odjechał szybko, zostawiając Kate w stanie czarnej rozpacz. Zupełnie sobie nie wyobrażała, jak przeżyje czekający ją koszmar.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Pozbyła się przynajmniej jednej duchowej rozterki. W momencie, w którym spojrzała Carmen w oczy, podjęła ostateczną i nieodwołalną decyzję. Nie będzie miała żadnego romansu z Vittoriem.

Dopóki ta kobieta była dla niej tylko imieniem, Kate skłonna była ulec pokusie. Więcej niż skłonna - była na to prawie zdecydowana. Teraz wiedziała, że ta decyzja była ogromnym błędem. Z wielu różnych powodów.

Carmen nie zasługiwała na jej zdradę, a i jej należało się coś lepszego niż zostanie tanią zdobyczą pewnego aroganckiego mężczyzny, który porzuciłby ją po kilku dniach jak plastikową zabawkę.

Trudno, nie będzie miała czego wspominać, ale przynajmniej nie będzie niczego żałowała.

Z wysoko uniesioną głową przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, zadowolona, że wreszcie odzyskała zdrowy rozsądek. Musiała zmierzyć się z prawdą, a na dodatek zrobić to z godnością. Kochała Vittoria, ale on nigdy nie należałby do niej. A kochając się z nim na jego warunkach, pospiesznie i potajemnie, straciłaby szacunek dla samej siebie.

Niestety, szacunek dla samej siebie nie był kojącym balsamem na zranione serce.

Musiała przetrwać jakoś ten wieczór, a potem, nie uprzedzając Vittoria, wrócić najbliższym samolotem do Londynu. Oznaczałoby to



złamanie obietnicy, ale cóż ona była warta. Przede wszystkim nie miał prawa o coś takiego prosić.

Spojrzała na zegarek. Miała siedem pełnych godzin na pozбиieranie się. Opadła zmęczona na łóżko - co za luksus! - i zamknęła oczy.

Sen. To było na razie jedyne, na co miała ochotę.

Kiedy się obudziła, w pokoju panował półmrok i musiała zapalić lampkę, żeby sprawdzić godzinę. Było po siódmej. Spała kamiennym snem ponad sześć godzin. Zostały jej trzy kwadransy na przygotowanie się.

Wzięła szybki prysznic i wysuszyła włosy, a potem otworzyła szafę, czując, jak mimowolny uśmiech rozjaśnia jej twarz. Po tylu dniach chodzenia w tych samych spodniach i jednej bluzce taki wybór! Zdecydowała się na prostą niebieską sukienkę i sandały na wysokich obcasach. Szcesała włosy do tyłu i spojrzała krytycznym wzrokiem w lustro.

To, co zobaczyła, mile ją zaskoczyło. Wyglądała na całkiem opanowaną, jak gdyby ostateczne podjęcie decyzji, po tylu godzinach udreki, jakimś cudem przywróciło jej równowagę. W głębi duszy mogła sobie rozpaczać, czuć się jak skazaniec prowadzony na egzekucję, ale przynajmniej zachowała do końca godność. Nie pozwoli, żeby ktokolwiek, a już na pewno nie Vittorio, zobaczył ślad cierpienia na jej twarzy.

Kiedy zadzwonił telefon, zdecydowanym ruchem podniosła słuchawkę.

- Pan Esquerez czeka na panią w holu - powiedziała recepcjonistka.

- Proszę mu powiedzieć, że zaraz tam będę. - Z zamkniętymi oczami wypowiedziała w myślach modlitwę. Boże, daj mi siłę, żebym przeżyła jakoś ten wieczór.

Gdy jednak wyszła z windy i zobaczyła go przy recepcji, wszystko zaczęło w niej dygotać. W ciemnym garniturze, z lśniącościami, zaczesanymi do tyłu włosami, wyglądał tak wspaniale, że dech zaparło jej w piersiach.

- Wyglądasz pięknie. - Podeszedł do niej z czarującym uśmiechem, ale w jego oczach dostrzegła cień wahania.

- Ty też wyglądasz jak z innej bajki!

- Chodź - roześmiał się. - Powóz czeka. - Położył rękę na jej ramieniu i poprowadził do wyjścia.

Powóz okazał się lśniącościami czarnym cadillakiem. Kate zagłębiła się w skórzanym fotelu, jeszcze bardziej zmieszana całą sytuacją. Zastanawiała się, czy ten samochód należy do niego, czy do Carmen. Jego życie miało różne oblicza, których nie znała i nigdy już nie miała poznać.

Patrzyła przed siebie, kiedy uruchomił silnik i uregulował klimatyzację.

- Tak będzie dobrze, nie za gorąco?

- Nie, świetnie. - Ale gdy samochód ruszył bezszelestnie, a po chwili skręcił w zatłoczony Roxas Boulevard, myślała tylko o jednym: jak zdoła przetrwać ten wieczór. Jak będzie się czuła, siedząc z nim i z

Carmen przy jednym stole, patrząc na ich uśmiechy i spojrzenia, wymianę pocałunków i czułości?

Zamknęła oczy, starając się oddychać wolno, żeby uspokoić łopoczące serce. Nie powinna była przyjąć tego zaproszenia. Trzeba było wymówić się bólem głowy albo zmęczeniem, czymkolwiek, byle uniknąć tego koszmaru. Może jeszcze nie było za późno...? Gdyby powiedziała, że nagle poczuła się słabo, na pewno bez protestu zgodziłby się ją zawieźć z powrotem do hotelu.

Zacisnęła dłonie w pięści. Nie miała innego wyjścia. Nabrała głęboko powietrza i odwróciła lekko głowę.

- Vittorio, ja... - zaczęła, i nagle, kiedy spojrzała w okno, słowa uwięzły jej w gardle. To nie był już Roxas Boulevard! - Dokąd ty mnie wiesz?

- Zabieram cię gdzieś, gdzie będziemy mogli być sami.

Zrozumiała natychmiast. Jadą do jakiegoś obskurnego hotelu, gdzie będzie mógł ją zaciągnąć do łóżka. W swojej bezczelności nawet nie zadał sobie trudu, żeby zapytać, czy ona również ma na to ochotę.

- Zawracaj do hotelu! - wykrzyknęła. - Nigdzie z tobą nie jadę!

- Owszem, jedziesz. Nie ma mowy o zawracaniu. Chyba że zamierzasz wyskoczyć z samochodu.

Nie zamierzała. Mimo wszystko samobójstwo byłoby nieco przesadzonym gestem.

- Oni będą na nas czekać. Ciekawe, jak się wytłumaczysz.

- Nikt nie będzie czekać. Kolacja została odwołana. Giles zdecydował, że jest za bardzo zmęczony. Tak więc, *querida*, jesteśmy sami - dodał swobodniejszym tonem, zatrzymując się nagle przed budynkiem, który zupełnie nie przypominał obskurnego hotelu.

- To jest restauracja! - Spojrzała na niego oszołomionym wzrokiem.

- Oczywiście. Idziemy na kolację. Uspokój się, *querida*, wszystko ci wytłumaczę.

Cały jej gniew ustąpił. Była zaciekawiona. Wysiadła posłusznie z samochodu i weszła z nim do restauracji urządzonej z olśniewającym przepychem.

Kiedy kelner wręczył im karty dań i spytał, czy zechcą zamówić aperitif, potrząsnęła zniecierpliwiona głową i westchnęła z irytacją, gdy Vittorio zamówił whisky. Zastanawiała się, czy rozmyślnie ją drażni, odwołując rozmowę.

- A więc? - zaczęła, kiedy kelner kocim krokiem oddalił się od ich stolika. - Może powiesz mi wreszcie, o co tu chodzi?

- Właśnie się zastanawiam, od czego zacząć... Ale chyba najłatwiej będzie od końca. - Skrzyżował ręce na piersi, patrząc na nią zamyślonym wzrokiem. - Carmen i ja zerwaliśmy ze sobą ostatecznie.

Kate odrętwiała z wrażenia. Wiedziała, że jego przenikliwie czarne oczy badają jej twarz, ale całą siłą woli starała się zachować obojętność. Sama nie była pewna, co czuje. Zdumienie? Ulgę? Niedowierzanie?

- Dlaczego? - zapytała cichym głosem.

W tej samej chwili pojawił się kelner ze szklanką whisky dla Vittoria.

- Dziękuję. Złożymy zamówienie trochę później. - Poczekał, aż zostaną sami, i poprawił się na krześle. - Żeby wytłumaczyć dlaczego, muszę zacząć od początku. - Pociągnął łyk whisky i marszcząc z wysiłkiem brwi, odstawił szklankę.

Po co jej to mówił? Bała się nawet myśleć.

- Carmen i ja znamy się od dziecka. Nasze rodziny są bardzo zaprzyjaźnione. Właściwie od początku liczyli na to, że kiedyś się pobierzemy. I chociaż my też w to wierzyliśmy, nigdy nie doszło do rozmowy o oficjalnych zaręczynach, nie mówiąc o planach małżeńskich. Ona była zajęta, najpierw studiami, potem karierą zawodową. Ja zawsze szykowałem się do następnej wyprawy. I tak minęło dziesięć lat, a my staliśmy się parą zatwardziałych „prawie narzeczonych”. Oczywiście nasze rodziny wciąż nas ponaglały, ale zawsze znajdowaliśmy jakąś wymówkę, żeby odłożyć sprawę na później, chociaż nigdy nie zadaliśmy sobie pytania dlaczego. Aż w końcu... - Vittorio opuścił wzrok - Carmen poznała innego mężczyznę. Jest bankierem z Hongkongu, nieprawdopodobnie bogatym, i bardzo chce się z Carmen ożenić.

Kate zacisnęła kurczowo palce. Posępna nuta w jego głosie mogła tylko potwierdzać jej obawy. Chciał się po prostu wygadać i wzbudzić w niej współczucie.

- Carmen powiedziała mi o tym kilka miesięcy temu. Przyznaję, że zrobiło to na mnie pewne wrażenie, ale dopiero wtedy po raz

pierwszy zdobyliśmy się na poważną rozmowę. - Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Niesamowite, jak ludzie potrafią sami siebie oszukiwać.

Wystarczyło, że oboje zechcieliśmy spojrzeć prawdzie w oczy i dość szybko zdaliśmy sobie sprawę, dlaczego oboje zwlekaliśmy z zaręczynami. Tak naprawdę żadne z nas nie chciało tego małżeństwa. Wiedzieliśmy podświadomie, że nie pasujemy do siebie.

- Nie pasujecie do siebie? - powtórzyła mimowolnie. - W jakim sensie?

- W każdym, *querida*. Możesz sobie wyobrazić Carmen wędrującą przez dżunglę albo śpiącą, jak ty, w śpiworze? - Zaśmiał się pod nosem. - Ona dostaje nerwowych drgawek, kiedy ją coś zaswędzi! O wiele bardziej interesuje ją krój mojej marynarki niż to, czym się zajmuję. - Nagle twarz mu spoważniała. - Tylko nie pomyśl sobie, że chcę przedstawić Carmen w złym świetle. Znosiła bez słowa pretensji moje włóczegostwo i nagłe powroty w niechlujnych dżinsach i T-shircie. Nigdy nie próbowała mnie zmieniać, muszę jej to uczciwie przyznać. Ale tak czy inaczej, oboje doszliśmy do wniosku, że za bardzo się różnimy, żeby myśleć o małżeństwie. Kochamy się, ale to nie jest miłość kochanków, a raczej przyjaciół.

- Więc dlaczego nie zerwaliście ze sobą od razu? Dlaczego czekałeś z tym do dzisiaj?

- Bo tym, co mnie i Carmen niewątpliwie łączy, jest szacunek dla tradycji i szacunek do naszych rodzin. Ze względu na nich wszystkich musieliśmy mieć pewność, że chcemy podjąć tak

drastyczną decyzję. Postanowiliśmy, że wykorzystamy moją następną wyprawę jako czas na przemyślenie sytuacji. Oczywiście, nie przewidziałem - uśmiechnął się wymownie - że będę miał pasażerkę i niewielką szansę na myślenie!

Kate czuła, jak pąsowieją jej policzki.

- Nic dziwnego, że tak ucieszyłeś się na mój widok! Gdybym wiedziała, że przeżywasz osobisty kryzys, zrezygnowałabym, przysięgam!

- Na szczęście tego nie zrobiłaś. Widząc, jaka jesteś, jak sobie radzisz, po raz pierwszy w życiu zdałem sobie chyba sprawę, że typ dziewczyny, jakiej potrzebuję, naprawdę istnieje. To ktoś taki jak ty. Tak przywykłem do Carmen, że zacząłem już myśleć, że wszystkie kobiety są jej wierną kopią - a w takim razie nie było większego sensu szukać kogoś innego.

„Typ dziewczyny, jakiej potrzebuję...” „Ktoś taki jak ty”, a nie po prostu „ty”. Kate starała się ukryć rozczarowanie.

- Cieszę się, że pomogłam ci podjąć decyzję.

- Myślę, że podjąłem ją już wcześniej. - Dotknął czule jej ręki. - Ale dzięki tobie upewniłem się, że to jedyna słuszna decyzja. Powiedziałbym ci prawdę, bo pewnie zastanawiałaś się, jaki diabeł mnie opętał. W jednej chwili cię uwodziłem, a zaraz potem wycofwałem się rakiem. Zachowywałem się jak szaleniec.

Wstrzymała oddech, patrząc mu nieruchomo w oczy.

- Chciałem ci powiedzieć... Bardziej niż możesz to sobie wyobrazić. Ale był jeszcze jeden problem. Przyrzekliśmy sobie z

Carmen, że jeśli jedno z nas zdecyduje, że mimo wszystko powinniśmy się pobrać, drugie bez protestu zaakceptuje tę decyzję. Dlatego ci nie powiedziałem. Wciąż nie miałem pewności, jak potoczą się sprawy. Najpierw musiałem porozmawiać z Carmen. Dlatego prosiłem cię, żebyś nie odlatywała z Filipin, nie uprzedziwszy mnie. Tak czy inaczej, winien ci byłem wyjaśnienie.

Jeszcze raz go źle oceniła. Nie proponował jej przelotnego romansu. Chciał tylko się wytłumaczyć.

- Po dzisiejszej rozmowie z Carmen mam nareszcie pewność, że jestem wolny. Zdecydowała się wyjść za swojego bankiera.

Ale po co jej to wszystko mówił? Dlaczego tak kurczowo ścisnął jej rękę?

- Gdyby nie Carmen... mógłbym ci już wcześniej powiedzieć, że cię kocham.

- Kochasz? - Oddychała nierówno, z wysiłkiem łapiąc powietrze.  
- Ty mnie kochasz?

- *Si, amor*. Gdybym ci to wyznał, co byś odpowiedziała?

Słaby, nieporadny uśmiech przemknął po jej twarzy.

- No... że ja też cię kocham.

Patrzył na nią, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Naprawdę... *querida*?

- Vittorio Felipe Salavadorze de Esquerez - zaśmiała się głośno - jak śmiesz wątpić w moją irlandzką uczciwość?

Pochylił się nad stołem, żeby ją pocałować.

- *Querida!* Moje marzenie się spełniło!



W tej samej chwili przywołał ręką kelnera, rzuciwszy na stół plik banknotów, chwycił Kate za rękę i pociągnął za sobą.

- Dokąd idziemy? Nie zjedliśmy kolacji!

- Zjemy później - odpowiedział w samochodzie. - Teraz chcę być z tobą sam.

Dziesięć nieznośnie długich minut zajęła im droga do hotelu „Manila” i jazda windą na trzecie piętro. Kiedy wreszcie zamknęły się za nimi drzwi apartamentu, stali przez moment w milczeniu, patrząc sobie żarliwie w oczy. Potem Vittorio przygarnął ją do siebie.

- Gdybyś wiedziała, ile razy wyobrażałem sobie tę chwilę... - szeptał zduszonym głosem, całując jej włosy i twarz.

Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa, nawet gdyby zależało od tego jej życie.

- Jeszcze tylko jedno... - mruzczał, niosąc ją na rękach do sypialni. - Jedno pytanie, na które musisz mi odpowiedzieć.

- Powiem ci wszystko, co tylko zechcesz.

- *Querida*, powiedz, że mnie kochasz i że zgodzisz się zostać moją żoną.

Zatopił w niej zamglone czarne oczy. I czekał.

- Tak - odpowiedziała.

Niebo było bezchmurne, kiedy wyszli z samolotu na dublińskim lotnisku - wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w granatowym garniturze i rudowłosa, zielonooka dziewczyna u jego boku.

- Więc to jest Irlandia. - Vittorio ujął Kate pod ramię. - Wygląda równie pięknie jak ty, *querida*.

- Jest o wiele piękniejsza ode mnie. Przekonasz się na własne oczy.

Vittorio roześmiał się i objął ją mocnym ramieniem.

- *Mi amor* - mruknął. - Tak bardzo cię kocham.

Kilka ostatnich dni na Filipinach przeżyli w prawdziwej gorączce. Planowali swoją przyszłość i wyjaśniali przeszłość. Pierwszego ranka po ich powrocie z Cabayan, po niezapomnianej miłosnej nocy, Vittorio przyparł Kate do muru.

- Teraz kolej na twoją spowiedź. Chcę wiedzieć dokładnie, dlaczego ten reportaż tyle dla ciebie znaczył. Dlaczego gotowa byłaś dla niego ryzykować nawet własne życie?

- Mówiłam ci już. Groziła mi utrata pracy, gdybym wróciła z pustymi rękami.

- Dlaczego?

- To długa i nudna historia. Ale w skrócie wyglądało to tak, że koncern, który jest właścicielem „Deadline”, stracił mnóstwo pieniędzy na jakąś inwestycję i był zmuszony przeprowadzić cięcia finansowe. Przede wszystkim zdecydowali, że w dziale zagranicznym może zostać tylko jeden z dwóch reporterów. Ja albo mój kolega, Roy.

- To znaczy, że chcieli cię po prostu wyrzucić?

- Nie, niezupełnie. To przyzwoita firma, traktują pracowników wyjątkowo dobrze. Z konieczności postanowili jedno z nas przenieść

do działu krajowego. A to oznacza niższe zarobki - chociaż i tak znacznie lepsze niż w innych czasopismach.

- Ale ty nie mogłaś sobie pozwolić na obniżenie dochodów, prawda? A raczej twoja rodzina nie mogła sobie na to pozwolić.

- Skąd wiesz? - spytała zdumiona.

- Po prostu cię znam, kochanie. Twój ojciec jest bez pracy, masz sześcioro rodzeństwa i jesteś najstarsza. Na twarzy masz wypisane poczucie odpowiedzialności.

- Musiałam im pomagać.

- Powiedz mi jeszcze, jaki jest problem z twoim młodszym bratem. Tylko tego do końca nie rozgryzłem.

- Chodzi ci o Liama?

- O tego, który studiuje medycynę.

- Liam... - westchnęła. - To bardzo proste. Gdybym zarabiała mniej pieniędzy, nie byłabym w stanie spłacać kredytu za mieszkanie. W żadnym razie nie mogłabym wysyłać mniej pieniędzy rodzicom. Liczą każdy grosz z tego, co ode mnie dostają. Tak więc jedynym wyjściem byłoby sprzedać mieszkanie, do czego Liam nigdy by nie dopuścił. Rzuciłby studia i znalazł jakąś pracę, żeby móc pomagać rodzicom.

- A ty za nic nie chciałaś, żeby Liam rzucił studia?

- Oczywiście! Wszystko, tylko nie to! Szalenciec! Gotów był zmarnować swoje zdolności i iść od razu po szkole do pracy. A zapewniam cię, że Liam będzie najlepszym lekarzem na świecie!

- Zrobiłby to co ty. Nie poszłaś na studia, tylko do pracy.

- Tak... ale to co innego. Byłam najstarsza, nikt inny nie mógł wtedy pomóc rodzicom.

- Och, kochanie... - Przyciągnął ją do siebie i otulił ramionami. - Jesteś najcudowniejszą kobietą na świecie. Więc jak było z tą pracą? - Uśmiechnął się pogodnie. - Walczyliście z Royem o to, kto zostanie w dziale zagranicznym. Czy to była uczciwa konkurencja?

- Tak. Wydawca zdecydował, że które z nas w ciągu sześciu miesięcy zrobi więcej materiałów wiodących, na pierwsze strony magazynu, zostanie w dziale zagranicznym. - Westchnęła ciężko. - Do tej pory, a minęły cztery miesiące, Roy napisał dwa genialne reportaże, a ja nic specjalnego, same drobiazgi. Cabayanowie byli moją ostatnią szansą.

- Teraz rozumiem. - Promienny uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Dzięki ci, Boże, za Roya i za Cabayanów!

Kiedy wszystko zostało wyjaśnione, przyszła pora na poznanie klanu Esquerezów. Wujowie, ciotki, kuzyni, bracia i siostry, a przede wszystkim cudowni rodzice Vittoria przyjęli Kate z otwartymi ramionami. W dużej mierze dzięki Carmen, która z całym swoim wdziękiem wychwalała Kate pod niebiosa, wyrażając radość, że Vittorio znalazł wreszcie odpowiednią dziewczynę.

- Będzie wam ze sobą dobrze - powiedziała Kate na ucho, potem ją ucałowała jak przyjaciółkę i uścisnęła. - Dbaj o niego. To wyjątkowy człowiek.

- Nigdy nie zapomnimy, co dla nas zrobiłaś - odpowiedziała z wdzięcznością Kate.

- Daj spokój. Po prostu myślcie o sobie nawzajem i życie szczęśliwie.

Wierzyła całym sercem, że tak będzie. Zamierzali wspólnie pracować nad projektami modernizacji filipińskich wiosek. Vittorio, tak jak do tej pory, miał kierować całością, a ona zajmować się codziennymi, bardziej przyziemnymi sprawami. Myślała też o napisaniu książki.

- Sądzę, że powinnaś być naszym rzecznikiem prasowym - powiedział kiedyś. - Pilnowałabyś, żeby wszystkie informacje, które docierają do prasy, były prawdziwe. Może uchronilibyśmy się w ten sposób przed następnymi Ramosami.

- Oczywiście, że będę twoim rzecznikiem. I pierwsza rzecz, którą chcę zrobić, to natychmiast poprawić twoje stosunki z prasą. Chcę, żeby cały świat wiedział, jakim jesteś wspaniałym człowiekiem.

- Jeśli nalegasz... - Pocałował ją czule w nos. - Ale tak naprawdę zależy mi tylko na tym, żebyś ty myślała, że jestem wspaniały.

Kate napisała artykuł o Cabayanach w czasie samotnego lotu z Manili do Londynu i oddała go swojemu wydawcy, wraz z prywatnym dopiskiem, dwa dni później.

Derek był zachwycony reportażem.

- Wspaniała robota! Wchodzi na pierwsze strony! - Ale jej rezygnacja szczerze go zmartwiła. - Będzie nam ciebie naprawdę brakowało, Kate. Przez szmat czasu byłaś podporą tego magazynu. Bez ciebie nie byłby tym, czym jest.

Ale ona nie mogła doczekać się rozwiązania kontraktu. Mimo codziennych telefonów Vittoria, rozłąka z nim sprawiała jej niemal fizyczny ból. Na szczęście, litościwy Derek zgodził się skrócić jej okres wypowiedzenia do kilku tygodni.

W końcu Vittorio zdołał załatwić najpilniejsze sprawy w Manili i przyleciał do Londynu, żeby spotkać się z jej ukochanym Liamem, a potem z resztą rodziny w Irlandii.

Liam zapałał do Vittoria sympatią od pierwszego wejrzenia.

- To jest mężczyzna dla ciebie! - powiedział do Kate ze śmiechem. - Nawet nie muszę życzyć ci szczęścia. Jestem pewien, że jesteście dla siebie stworzeni.

Był tylko jeden moment spięcia między przyszłymi szwagrami, kiedy Vittorio upierał się, że jako mąż Kate będzie miał prawo i obowiązek wspomagać finansowo jej rodziców i Liama.

- Skoncentruj się na studiach - powtarzał słowa Kate - a kiedy zostaniesz lekarzem, będziesz im pomagał, ile tylko zechcesz.

W końcu Liam dał się przekonać.

- Kiedyś odplacę się wam obojgu - przyrzekł.

Kiedy wychodzili z zatłoczonej hali lotniska Shannon w Dublinie, Kate z bijącym sercem spoglądała raz po raz na twarz Vittoria.

- Mam nadzieję, że jesteś przygotowany na rzeź - zażartowała, ściskając go kurczowo za rękę. - Moja rodzina jest bardzo wylewna i podejrzewam, że przyjechali tu wszyscy, cały tłum ludzi...

- Nie mogę się doczekać, żeby ich poznać - Vittorio uśmiechnął się do niej czule i musnął pocałunkiem włosy. - Teraz są i moja rodziną.

- Kocham cię, Vittorio.

- Ja też cię kocham, *querida*. Całym sercem.

RS